

JESTEŚMY LAUREATAMI II MIEJSCA W KONKURSIE
GAZET SZKOLNYCH O „LAUR GĘSIEGO PIÓRA”

Forum Mistrzów Pióra



DODATEK DO DWUMIESIĘCZNIKA SZKOLNEGO
„NASZA DWÓJKA”

NR 2 (3) / rok szkolny 2010/2011 czerwiec 2011 Nakład 40 egz.

Szkoła Podstawowa nr 2 im. Św. Kingi w Sanoku



FORUM MISTRZÓW PIÓRA

dodatek specjalny „Naszej Dwójki”

Redakcja:
Joanna Twardak

Współpraca:
Lucyna Mazur
Dorota Myćka

Opracowanie komputerowe
Alicja Staruchowicz-Pastuszczyk

Sanok, czerwiec 2011 r.

Drodzy Czytelnicy!

*Już po raz trzeci oddajemy w Wasze ręce **FORUM MISTRZÓW PIÓRA** – zbiór wypracowań uczniów klas czwartych, piątych i szóstych, które przez Wasze polonistki zostały uznane za godne wyróżnienia i opublikowania.*

Żywimy nadzieję, że lektura zamieszczonych w niniejszym wydawnictwie prac pobudzi młodych Autorów do jeszcze większej aktywności twórczej, a dla uczniów mniej aktywnych stanie się zachętą do pracy nad własnym warsztatem pisarskim.

Redakcja „Naszej Dwójki”

PRZEŻYJMY TO RAZEM Z BOHATEREM KSIĄŻKI.....	7
Nocna wyprawa Stasia.....	7
Piotr Mól kl. 5a.....	7
Aleksandra Łyko, kl. 5a.....	8
Jakub Mokrzycki, kl. 5a.....	9
Julia Futyma, kl. 5a.....	10
Anna Stasiczak, kl. 5a.....	11
Robinson na bezludnej wyspie.....	11
Małgorzata Gorczyńska, kl. 6c.....	11
Arkadiusz Wojtoń, kl. 6c.....	12
Aleksandra Marczak, kl. 6c.....	12
Na dworze króla Salomona.....	13
Aleksandra Marczak, kl. 6 c.....	13
SPRÓBUJMY TO OPISAĆ.....	14
Zimowy dzień.....	14
Karolina Wiśniowska, kl. 4c.....	14
Wyspa Robinsona.....	14
Małgorzata Gorczyńska, kl. 6c.....	14
Aleksandra Marczak, kl. 6c.....	15
Podwórko moich marzeń.....	15
Maciej Kosturski, kl. 4c.....	15
Przemysław Śnieżek, kl. 4c.....	16
Jakub Cecuła, kl. 4c.....	16
Karolina Wiśniowska, kl. 4c.....	17
Moja szkoła.....	17
Wiktoria Maślanka, kl. 4a.....	17
Daria Wielgosz, kl. 4b.....	18
Szymon Zdziebko, kl. 4b.....	19
W KRAINIE SNU I FANTAZJI.....	20
Ja też odwiedziłem Królestwo Narnii.....	20
Przemysław Śnieżek, kl. 4c.....	20
Maciej Kosturski, kl. 4c.....	21
Zuzanna Kopiec, kl. 4c.....	22
Julia Waclawska, kl. 4c.....	23
Moje podwórko nocą.....	24
Aleksandra Mazgaj, kl. 4b.....	24

Klaudia Jagielska, kl. 4b.....	25
Daria Wielgosz, kl. 4b.....	27
Natalia Gurgacz, kl.4c.....	29
Mateusz Mazur, kl. 4b.....	30
Aleksandra Dubis, kl. 4b	30
Przygoda w dziwnej krainie.....	32
Agnieszka Jasłowska, kl. 4b.....	32
Mateusz Mazur kl. 4b.....	33
Aleksandra Prodziewicz, kl. 4b.....	37
Szymon Zdziebko, kl. 4b.....	38
Dalsze losy Dedala.....	39
Piotr Gabriel, kl. 6b.....	39
Wycieczka w kosmos.....	40
Joanna Smarzewska, kl. 6b.....	40
Maria Berdysz, kl. 6b.....	43
LISTY NIE TYLKO POLECONE.....	45
Na kuligu.....	45
Jakub Cecuła, kl. 4c.....	45
Zuzanna Kopiec, kl. 4c.....	46
Davide Dodaj, kl. 4c.....	46
List do Pinokia.....	48
Mateusz Brojek, kl. 4b.....	48
Szymon Zdziebko, kl. 4b.....	49
TO MOGŁO SIĘ WYDARZYĆ.....	50
Cezary Janowski, kl. 5b.....	50
Miłosz Balwierczak, kl. 6 b.....	50
Joanna Smarzewska, kl. 6 b.....	52
Joanna Smarzewska, kl. 6b.....	54
W ŚWIECIE BOHATERÓW LEKTUR.....	56
Tomek Sawyer.....	56
Bogdan Marczak, kl. 4b.....	56
Elza Jezierska.....	56
Monika Buczek, kl. 4d.....	56
Ania Shirley.....	59
Aleksandra Łyko, kl. 5a.....	59
Patrycja Bednarz, kl. 5d.....	60
Harry Potter.....	61

Bartłomiej Czerwiński, kl. 5b.....	61
TO I OWO.....	63
Kuchnia pana Kleksa.....	63
Karolina Wiśniowska, kl. 4c.....	63
Jestem podobny do.....	64
Przemysław Śnieżek, kl. 4c.....	64
Karolina Wiśniowska, kl. 4c.....	64
Zuzanna Kopiec, kl. 4c.....	65
Powiedzieć to inaczej.....	65
Aleksandra Prodziewicz, kl. 4c.....	65
Jakub Cwiąkała, kl. 4a.....	65
Jak to dawniej w szkole bywało -	66
wywiad z mamą.....	66
Hubert Brojek, kl. 5a.....	66
Robert Pilecki, kl. 5a.....	67
Kartka z dziennika podróży.....	68
Julia Futyma, kl. 5a.....	68
Kamil Tomczewski, kl. 5d.....	69
Przejawy tolerancji i nietolerancji wokół nas.....	70
Aleksandra Marczak, kl. 6c.....	70

PRZEŻYJMY TO RAZEM Z BOHATEREM KSIĄŻKI

Nocna wyprawa Stasia



Piotr Mól kl. 5a

Gdy Nel zachorowała na febrę, byłem bardzo zmartwiony i zatroskany. Czasami nawet z tego powodu płakałem. Nel przeżyła już dwa ataki tej strasznej choroby. Wiedziałem, że trzeciego może nie przeżyć.

Wtedy przybiegł do mnie Kali i pokazał dym, unoszący się gdzieś w puszczy, co oznaczało, że musi tam być jakiś obóz lub wioska. Pomyślałem, że tylko tam mogę dostać chininę. Wahałem się czy pójść, przecież mógł to być oddział Smaina, mogli mnie schwytać i wziąć za niewolnika. Bardzo się denerwowałem i ciągle byłem niezdecydowany. Jednak w końcu podjąłem decyzję - poczucie odpowiedzialności zwyciężyło. Poczulem ulgę, a na twarzy pojawił mi się uśmiech.

Przed wyprawą pożegnałem się z Kalim i z Meą. Powiedziałem im, że gdybym nie wrócił, a mała Bibi umarła, powinni ją pochować i ustawić na grobie znak krzyża. Kali upierał się, że pójdzie ze mną. Wzruszyło mnie to, ale byłem stanowczy. Powtórzyłem, że ma zostać i tak się stało.

Z determinacją przeprawiałem się nocą przez gąszcze. W tych chwilach czułem lęk i strach. Cały się trząsałem, momentami włosy stawały mi dęba, a serce z każdą sekundą coraz szybciej biło. W pewnym momencie zauważyłem, że coś czerni się pod akacją, a dwa błyszczące punkty patrzą na mnie! Przeraziłem się, ogarnęła mnie panika. Już miałem uciekać, gdy jeden z punktów uniósł się do góry. Domyśliłem się, że to latarniki. Westchnąłem z ulgą.

Po dwóch godzinach drogi dotarłem na teren, gdzie trawy były niższe. Nagle, o trzysta kroków w prawo, zauważyłem na ścianie skalnej odbłask ognia. Ostrożnie udałem się w jego kierunku. Nieopodal zobaczyłem pięć koni. Dotarłem na miejsce i spojrzałem w głąb wąwozu. Zobaczyłem namiot i powoli zsunąłem się w dół.

Gdy zobaczyłem leżącego na polowym łożku białego człowieka w europejskim stroju, nie mogłem z siebie wykrztusić ani jednego słowa. W końcu jednak odzyskałem mowę i przedstawiłem się. Poprosiłem też o chininę. Dowiedziałem się, że mężczyzna nazywa się Linde, że mały Murzynek mu pomaga, i że on sam został zraniony przez dziką ndiri. Powiedział, że chininy

może mi dać dwa stoiki. Poczulem radość i szczęście. Miałem ochotę krzyczeć wniebogłosy. W euforii dziękowałem Lindemu z uniesieniem za chininę.

Szczęśliwy wróciłem do baobabu „Kraków” i podałem lekarstwo Nel.



Aleksandra Łyko, kl. 5a

Moja przyjaciółka już po raz drugi miała atak febry. Dziś jeszcze przez długi czas gaworzyła, lecz później ze zmęczenia usnęła.

Rozmyślałem potem o jej nieszczęściu. Choć starałem się rozpraszać wszystkie złe i smutne myśli, to i tak jej choroba nie dawała mi spokoju. Zastanawiałem się nad tym, czy wyruszyć na wyprawę w poszukiwaniu lekarstwa na febrę. Z jednej strony bardzo się bałem, że po drodze spotkam oddział Smaina. Dręczyło mnie uczucie strachu przed nim. Jednak z drugiej strony, nie mogłem się tak łatwo poddać.

Po długim namyśle, z uczuciem ulgi, postanowiłem, że zrobię to dla mojej Nel i pójdę. Zdawałem sobie sprawę z tego, że jest to niebezpieczne, jednak wiedziałem, że każda godzina bez leku to zagrożenie dla mej przyjaciółki, więc postanowiłem, że wyruszę jeszcze tej nocy.

Gdy myślałem o tym, co straszego może mnie spotkać po drodze, przypominałem sobie mądre słowa Kalego, który powiedział, że gdy postanowił szukać Saby, też się bał, ale mimo to poszedł. Poczekałem na wzejście księżyca. Przed wyruszeniem w drogę powiedziałem do młodego Murzyna, aby zabrał psa do wnętrza baobabu i pilnował z Meą panienki. Kali bardzo chciał iść ze mną, ale stanowczo odmówiłem. Powiedziałem mu, co ma zrobić, kiedy ja nie wrócę, lub nie daj Boże- Nel nie przeżyje. Choć nie wziąłem Kalego ze sobą, bardzo smutno mi się zrobiło, gdy się z nim żegnałem. Kiedy nadszedł czas rozstania z Nel, łzy same napłynęły mi do oczu.

W końcu wyruszyłem. Szedłem cichutko, bo bałem się, że ktoś mnie usłyszy. Ze strachu kołatało mi serce. Cały czas myślałem, że coś się do mnie zbliża. Byłem bardzo zmęczony, ale myślałem tylko o leku dla Nel. Po kilku godzinach wydostałem się wreszcie na grunt usiany kamieniami.

Nagle zobaczyłem różowy odbłask płomienia. Ogarnął mnie strach, a serce biło mi jak szalone. Byłem ciekawy, kogo tam zobaczę. Nie chciałem się już cofać i zacząłem się skradać. Nagle usłyszałem parskanie koni. Naliczyłem ich tylko pięć- było to mało, jak na Derwiszów - i trochę się uspokoiłem.

Nieopodal skały znalazłem namiot, w którym leżał człowiek. Mały Murzynek dokładał suchego drewna do ognia. Przez jakiś czas stałem przed

leżącym na łóżku człowiekiem i patrzyłem jak zamurowany. On obudził się i zapytał, kim jestem i w jakiej sprawie przybyłem. Powiedziałem mu, jak się nazywam i o opowiedziałem o chorej Nel. Geograf Linde (tak się przedstawił) potwierdził, że dwa ataki, to bardzo źle i że chininy może mi dać, ile chcę. W tej chwili ogarnęła mnie nieopisana radość i duma z siebie. Miałem ochotę krzyknąć i biegać po całym namiocie. Po chwili geograf wyciągnął lek i dał mi go, potem opowiedział o swoim wypadku.

Bardzo się bałem tej wyprawy, ale najważniejsze, że udało mi się zdobyć lek.



Jakub Mokrzycki, kl. 5a

Gdy Nel zachorowała na febrę, byłem zatroskany i strapiiony, ponieważ zabrakło mi chininy, a trzeciego ataku tej choroby Nel mogła już nie przeżyć.

Gdy pewnego dnia Kali podszedł do mnie i powiedział, że w dali widać dym, w pierwszej chwili pomyśleliśmy, że to obóz derwiszów. Wieczorem zacząłem się zastanawiać, czy ten dym rzeczywiście pochodzi z obozu Smaina. Wiedziałem, że - tak, czy inaczej - trzeba pójść po lek dla dziewczynki. Na początku byłem niezdecydowany, ponieważ zdawałem sobie sprawę z tego, że derwisze mogliby wziąć nas w niewolę. Jednakże gdy tylko podjąłem decyzję, że pójdę, poczułem wyraźną ulgę.

Zanim wyruszyłem w drogę, zwołałem Kalego i poleciłem mu, aby zabrał Sabę do wnętrza baobabu i aby razem z Meą pilnowali Nel. Kali był bardzo do mnie przywiązany, więc chciał iść ze mną, ale stanowczo mu tego zabroniłem. Jednocześnie wrzuciłem się przywiązaniem czarnego chłopaka. Przekazałem mu instrukcję, co ma zrobić, kiedy Nel umrze, a ja nie wrócę. Pouczyłem go też, że jeśli dziewczynka przeżyje ataki febry, a ja nie wrócę, to ma troszczyć się o małą bibi, zaprowadzić ją do ludu Wa-hima, a potem do Wielkiego Morza.

Wyruszyłem, gdy tylko księżyc wzniósł się wysoko na niebo. Szedłem przez bardzo wysokie trawy, w których za dnia nic nie widać, a co dopiero w nocy... Czułem strach przed dzikimi zwierzętami, a chwilami wpadałem nawet w przerażenie i panikę. Na szczęście udawało mi się szybko zapanować nad swoimi emocjami.

Nagle, dostrzegłem różowy blask na skale. Przeraziłem się, ale po chwili podszedłem bliżej - około stu kroków - i usłyszałem parskanie koni. Zdziwiłem się, gdyż naliczyłem ich tylko pięć, a jak na derwiszów, było to mało. Gdy podszedłem jeszcze bliżej, ujrzałem u stóp góry ogień i duży namiot. Obok

namiotu stało łóżko, na którym leżał biały człowiek. Młody Murzyn dokładał drewna do ognia. Poczulem ulgę

. Stanąłem obok łóżka nieznanego i przez dłuższą chwilę patrzyliśmy na siebie. W końcu tamten człowiek przemówił do Murzynka. Ale i ja odzyskałem mowę, przedstawiłem się i opowiedziałem o chorobie Nel. Patrzył jeszcze chwile na mnie, nie dowierzając własnym oczom. Po chwili otrząsnął się z sennych przywidzeń i powiedział:

- Biały chłopiec!... Jeszcze widzę białego!... Witam cię, ktokolwiek jesteś. Mówiłeś o jakiejś chorobie? Czego ode mnie żadasz?

Opowiedziałem mu jeszcze raz o Nel. Linde (bo tak się nazywał), kazał Nasibu (małemu Murzynkowi) podać blaszane pudełko, z którego wyciągnął dwa słoiki z chininą! Uradowałem się tym bardzo. Potem Linde opowiedział mi swoją historię, którą bardzo się wzruszyłem.

Ta nocna wyprawa była straszna i niebezpieczna, ale dla Nel mógłbym zrobić wszystko!



Julia Futyma, kl. 5a

Stan zdrowia Nel pogarszał się z każdą chwilą. Byłem bardzo strapiiony. Martwiłem się, że może nie przeżyć trzeciego ataku febry.

Zastanawiałem się, co zrobić. Gdybym został i nie wyruszył w stronę ognia, który spostrzegłem w oddali, nie pomógłbym dziewczynce. Gdybym zaś tam poszedł, mógłbym wpakować się w tarapaty, ale z drugiej strony pojawiała możliwość przyniesienia choć odrobiny chininy. Byłem niezdecydowany, denerwowałem się. Nie, tak trzeba zrobić. Pójdę tam, dla Nel. Poczulem ulgę. Byłem zdeterminowany. Dotrę do tego obcego obozu, choćby nie wiem co. Pożegnałem się z Kalim. Wzruszyłem się, ale stanowczo zabroniłem mu iść ze mną. Poinformowałem go, co ma począć, jeśli nie wróce, a mała umrze, i co należy zrobić, jeżeliby nie wrócił, a ona wyzdrowieje.

Wyruszyłem. Byłem przerażony, bałem się. Cały czas coś szurało w gąszczach, szeleściło, „ślipało”. W pewnym momencie zobaczyłem dwa błyszczące punkty. Wpadłem w panikę; jednakże okazało się, iż to nie są oczy drapieżnika, tylko latarniki.

Dotarłem do skały, na której odbijało się światło ognia. Ogarnął mnie lęk. A jeśli doszedłem do ludzi Smaina? Zsunąłem się ze zbocza. Zobaczyłem rząd Murzynów, śpiących pod kamienną ścianą, wielki namiot i łóżko polowe, a na nim, ku memu zdumieniu i radości, białoskórego mężczyznę. Byłem oszołomiony. Zaczęliśmy rozmowę. Człowiek ów nazywał się Linde, był geografem. Zranił go nosorożec i miał niedługo umrzeć, więc stwierdziwszy, że

nie jest mu potrzebna, podarował mi dwa słoje chininy. Wpadłem w euforię, czułem uniesienie, nie mogłem przestać dziękować.

I tak oto wróciłem do „Krakowa” z ratunkiem dla mej podopiecznej.



Anna Stasiczak, kl. 5a

Nel miała po raz drugi atak febry. Ten był słabszy do pierwszego, ale poczuła się gorzej. Byłem zmartwiony, bo wiedziałem, że w każdej chwili może nastąpić trzeci, którego Nel nie przeżyje.

Wieczorem Kali pokazał mi dym. Zastanawiałem się, co zrobić. Czy uciekać? Ale z drugiej strony ci ludzie mogli mieć chininę... Byłem zdezorientowany. Chodziłem tam i z powrotem. Kiedy podjąłem decyzję, ulżyło mi.

W nocy, gdy miałem wyruszyć, Kali oznajmił, że idzie ze mną. Stanowczo powiedziałem NIE. Chłopiec pożegnał mnie tak, że się wzruszyłem.

Wziąłem strzelbę i poszedłem. Było bardzo ciemno. Cały czas myślałem, że obok mnie stoi głodny lew, albo bawół. Strasznie się bałem, ręce i nogi mi się trzęsły. Chciałem wracać, ale nie było odwrotu.

Kiedy wyszedłem z traw, zauważyłem wielki namiot, a w nim leżącego człowieka. Zrozumiałem, że to nie jest obóz ludzi Smaina. Bardzo się ucieszyłem. Wszedłem do namiotu i obudziłem gospodarza. Opowiedziałem mu o Nel, o tym, że miała dwa ataki febry i że trzeciego nie przeżyje. Pan Linde dał mi dwa duże słoiki napelnione chininą. Byłem bardzo szczęśliwy. Podziękowałem mu i wróciłem do „Krakowa”

I tak zakończyła się jedna z wielu moich przygód.

Robinson na bezludnej wyspie



Małgorzata Gorczyńska, kl. 6c

Postanowiłem znaleźć Barnabie towarzystwo. Jest ostatnio taki smutny i ponury, zwłaszcza wtedy, gdy stadko schodzi do Koziej Dolinki.

Wiedziałem, co mam zrobić. Blisko wodopoju jest mała rozpadlina. Wystarczyło ją poszerzyć i pogłębić, aby powstała tam pułapka na kozy. Zacząłem kopać. Po jakimś czasie dotarłem do warstwy kamieni. Musiałem tylko

je wyciągnąć i gotowe. Szło mi to dość sprawnie, po chwili leżał za mną niewielki stosik. Wyciągnąłem z dziury kolejny kamień i rzuciłem go za siebie. Otarł się o inny kamień – i wystrzeliły spod niego iskry! Dotarło to do mnie – odnalazłem krzemień! Rzuciłem się szybko w stronę kamieni, by go poszukać. Jest!!! Poczułem, że ogarnia mnie radość i euforia. Czułem, że za chwilę wprost eksploduję ze szczęścia! Chciałem skakać i tańczyć, taki byłem wesoły! Jednak usiadłem tylko i krzesałem. Krzesałem! Po tak długim czasie zobaczę wreszcie ogień! Zjem ciepły posiłek! Od tej pory moja samotność na wyspie nie będzie mi tak dokuczać. Jeszcze nigdy w życiu nie byłem taki szczęśliwy!

Tego wieczoru po raz pierwszy od dłuższego czasu zjadłem ciepłą kolację. Dzięki odkryciu krzemienia codziennie zasypiałem z uśmiechem – i pełnym brzuchem. Tak bardzo nie cieszyłem się jeszcze nigdy w życiu.



Arkadiusz Wojtoń, kl. 6c

Mijają lata w moim kalendarzu, a ja wciąż jestem tu sam, Chciałbym usłyszeć ludzki głos. Nieraz mówię sam do siebie...

Bardzo tęsknię za rodzicami. Chciałbym ich zobaczyć. Czasem mi się śnią. Żałuję, że nie pożegnałem się z nimi przed rejssem. Pragnę ich przeprosić za moje wybryki. Gnębią mnie wyrzuty sumienia. Mam nadzieję, że kiedyś jeszcze ich zobaczę i wszystko wytłumaczę. Myślę, że nie zostanę tu na zawsze. Nie mogę się załamywać, choć czasem mam chwile zwątpienia. Wiara i religia trzymają mnie przy życiu, nie rozstają się z Biblią.

Mam nadzieję, że Bóg mnie nie opuścił i pomoże mi przetrwać trudne chwile na tej bezludnej wyspie.



Aleksandra Marczak, kl. 6c

Wylądowałem na nieznanym brzegu. Czuję się przerażony! Co się stało z moimi towarzyszami? Zginęli? Uratowali się? Jestem bezradny. Nie wiem, co robić. Obym nie zaczął panikować. Czuję rozdwojenie. Z jednej strony ciekawi mnie głębia wyspy, a z drugiej ogarnia mnie strach na samą myśl o niebezpieczeństwach. Przed chwilą wysypałem z kieszeni jęczmień. Jestem zły sam na siebie, że pozbawiłem się tego ziarna, gdyż mogło ono mi zapewnić pożywienie. Jestem zdezorientowany. Nie mam pojęcia, gdzie powinienem iść, co

robić. Tak tęskno mi do domu! Czemuż nie usłuchałem rodziców?! Oto jest kara za moje nieposłuszeństwo!”

Na dworze króla Salomona



Aleksandra Marczak, kl. 6 c

Tego dnia, jak zwykle stałam przy królewskim tronie i zdawałam królowi Salomonowi relację z cotygodniowego obchodu miasta.

Nagle do sali tronowej weszły dwie kobiety. Bardzo mnie zdziwiło, że każda z nich niosła dziecko. Pierwsza trzymała dziecię pełne życia, szczęśliwe oraz uśmiechnięte. Druga niosła dziecinę o oczach zamkniętych i bladej twarzy. Jednym słowem było martwe.

Kobiety podeszły do Salomona, po czym jedna z nich krzyknęła, iż żywe dziecko należy do niej!. Natomiast druga odpowiedziała, że to kłamstwo, bo przecież ona urodziła to maleństwo. Król rozkazał opowiedzieć im wszystko od początku. Okazało się, iż obie kobiety mieszkały w jednym domu, spały w tym samym pokoju, każda z nich miała dziecko. Poprzedniej nocy jedna z pociech zmarła. Po zakończeniu tej opowieści ponownie zaczęły kłótnię, każda dowodziła, że żywe niemowlę należy właśnie do niej.

Salomon zamyślił się srodze. Nagle zapytał kobiet, czy obie chcą zatrzymać dziecko. Odpowiedziały, że tak. Wtedy król rzekł coś, co nie tylko mnie zmroziło krew w żyłach.

Rozkazał przeciąć dziecko na pół, po czym dać każdej z kobiet po połowie niemowlęcia.

Zamarłam. Jak ten król, ten mędrzec, ten uczony, przyjaciel ludu, mógł rozkazać coś takiego?! Zakryłam oczy dłońmi, gdyż nie mogłam patrzeć, jak sługa z trwogą podnosi miecz na małe, niewinne dziecię! Wtem pierwsza z kobiet krzyknęła i zaczęła płakać. Poprosiła, by oddano dziecko drugiej niewieście, ale go nie zabijano!

Wtedy król polecił, żeby zwrócono maleństwo pierwszej kobiecie – „To ona jest matką, bowiem tylko matka nie da skrzywdzić swojego dziecka i gotowa jest zrobić dla niego wszystko!” – oświadczył Salomon grzmiącym głosem.

Pomyślałam, iż niemądrze postąpiłam, wątpiąc w mego pana. Teraz już wiem, że jest najsprawiedliwszym oraz najmądrzejszym królem na świecie!

SPRÓBUJMY TO OPISAĆ

Zimowy dzień



Karolina Wiśniowska, kl. 4c

Dzisiejszy dzień to jeden z tych pięknych, jasnych, słonecznych, ale mroźnych dni zimowych. Ziemię otula puchowa, błyszcząca, oślepiąco biała pierzyna, utworzona z cudownych, różnokształtnych płatków śniegu. Ta piękna śnieżna pokrywa lśni, iskrzy i mieni się w słońcu jak górskie kryształki.

Krajobraz wokół przypomina bajkowy świat. Gałęzie drzew aż uginają się pod ciężarem śniegu, jak jesienią owocowe drzewa zasypane urodzajem. Te drzewa wyglądają jak białe wieże, a najwyższe – sosny, otulone białym puchem, stoją jak żołnierze na warcie. Zwały śniegu pokryły również dachy domów, spod których wystają długie sople zabójczej broni, skierowanej w kierunku ziemi. Spacerując po skrzypiącym pod nogami śniegu, odczuwamy przenikliwy chłód, ale widok odbijających się promieni lśniącego jak złoto słońca zapiera dech w piersiach.

Mimo tego, że zima ma swoje uroki, ja jednak wolę lato.

Wyspa Robinsona



Małgorzata Gorczyńska, kl. 6c

Wyspa Robinsona była bezludna, lecz zamieszkiwało ją wiele zwierząt i porastało roślin. Pomimo braku ludzi, las tętnił życiem. Nad dżunglą górowało Wzgórze Nadziei.

Całą wyspę porastała tropikalna puszcza, w której rosło mnóstwo roślin. Palmy kokosowe, bananowce, dzika kukurydza czy żelazne drzewa to tylko niektóre z nich. W środku dżungli była mała polanka, na której rosły melony, cytryny, pomarańcze, winogrona, bawełna i trzcina cukrowa. Bujna roślinność była typowa dla tropikalnego klimatu.

Po puszczy biegały kozy, zające, a nawet dzikie koty. Różnobarwne motyle, krzykliwe papugi i zabawne grubodzioby latały nad drzewami. W morzu, otaczającym wyspę, pływały ryby, a na kamieniach żyły całe kolonie małży.

Wyspa Robinsona to istny raj. Szkoda tylko, że była niezamieszкана.

Aleksandra Marczak, kl. 6c



Ziemski raj, jakim jest wyspa Robinsona, w promieniu kilkudziesięciu mil otoczony jest morzem. Jego ukształtowanie terenu jest urozmaicone. Można tam zauważyć zielone pagórki, liczne grotty, żyzne doliny. Płyną też tam przejrzyste strumienie.

Ten kawałek lądu, wyróżnia się wyjątkowo bujną roślinnością. Rosną tam palmy kokosowe, drzewa pomarańczowe i cytrynowe, bananowce, oraz dzikie melony. W oczy rzucają się także kolorowe kwiaty, krzaki jagód, czy wielkie aloesy.

Jeśli chodzi o zwierzęta, to na wyspie ich nie brakuje. Papugi o kolorowych skrzydłach, wraz z małymi kolibrami uczują w owocowych gajach. Przeróżne małe zwierzęta, np. aguti, jaszczurki, zające, zamieszkują nieduże nory. Można tam spotkać kozy. Na różnobarwnych kwiatkach spoczywają kolorowe motyle, których cudne, wzorzyste skrzydła, cieszą oczy obserwatora.

Na wyspie czyhają też jednak niebezpieczne zwierzęta: dzikie koty, wielobarwne, lecz jadowite węże czy pająki. Morskie głębinny kryją ryby o przeróżnych kolorach i kształtach. Są one świetnym pożywieniem dla rozbitka. Jego głód mogą zaspokoić również małże, które można spotkać na płycznach.

Ten cudowny skrawek ziemi zachwyca nie tylko piękną roślinnością, czy ciekawymi zwierzętami. Najbardziej fascynująca jest jego tajemniczość...

Podwórko moich marzeń

Maciej Kosturski, kl. 4c



Chciałbym, aby moje wymarzone podwórko zmieniało się w zależności od pory roku. Zimą miałyby wiele górki do jazdy na sankach i nartostrad. Mogłoby pojawić się małe lodowisko, na którym razem z kolegami grałbym

w hokeja i ścigał się na łyżwach. Latem moje podwórko wyróżniałoby się dużą ilością zieleni, drzew, a między tymi drzewami pojawiłyby się trasy rowerowe. Byłoby tam również duże boisko do piłki nożnej i bieżnia do biegania. Chciałbym jeszcze, aby na moim podwórku zawsze było wielu moich kolegów gotowych do wspólnej zabawy.

To jest podwórko moich marzeń i choć nie mam takiego w rzeczywistości - to od czego wyobraźnia i pomoc naszych tatusiów?

Przemysław Śnieżek, kl. 4c



Moje wymarzone podwórko znajdowałoby się w pobliżu bloku, w którym mieszkam. Byłoby ono najbardziej oryginalne na świecie.

Na środku podwórka stałaby wielka trampolina, na której można byłoby odbijać się, ile sił w nogach. Niedaleko trampoliny znajdowałaby się olbrzymia piaskownica, w której nigdy nie brakowałoby piasku. Największą atrakcją podwórka byłaby budka z lodami, które można by było dostać zupełnie za darmo. Lody miałyby wszystkie smaki na świecie. Dzieci na moim podwórku bawiłyby się ze mną świetnie w różne gry i zabawy. Moje podwórko odwiedzałoby od czasu do czasu wesołe miasteczko, a z wszystkich jego atrakcji można by było korzystać zupełnie za darmo.

Kochałabym to miejsce najbardziej na świecie.

Jakub Cecuła, kl. 4c



Moje podwórko marzeń wyglądałoby następująco: na pewno znalazłby się na nim basen w lecie, a zimą lodowisko. Zamiast asfaltu, zasiałbym trawę i posypał specjalnym proszkiem do wytyczania linii, potrzebnych do różnych rozgrywek, np. do piłki nożnej, piłki siatkowej, piłki ręcznej itp.

Zimą zbudowalibyśmy tu wspólnie z kolegami skocznię narciarską wysoką na 10 metrów. Może ktoś z nas odważyłby się oddać choć jeden skok... Na moim podwórku marzeń znajdowałaby się nowoczesna hala widowiskowo-sportowa, w której rozgrywalibyśmy różne zawody. Na zewnątrz hali znajdowałyby się automaty z sokami i lodami, które działałyby na słowa "proszę" i "dziękuję".

Tak wyglądałoby moje wymarzone podwórko, lecz moje marzenia raczej nie mogą się spełnić, gdyż w rzeczywistości ta inwestycja kosztowałaby mnie majątek.



Karolina Wiśniowska, kl. 4c

Na podwórku moich marzeń stałyby huśtawki, zjeżdżalnie i karuzele. Chciałabym, aby było tam dużo kwiatów i zieleni. W kącie mojego podwórka znajdowałaby się altanka z dużą werandą, na której czytałabym książki i piła gorącą herbatę z sokiem malinowym. Wokół werandy wiłaby się dzika róża o kolorze soczystej czerwieni. Na gałęziach zielonej i pachnącej sosny uwiłyby sobie gniazdo kosi. Do mojego wymarzonego podwórka zapraszałabym swoich przyjaciół, aby mogli miło spędzać czas.

Chciałabym, aby moje marzenie zamieniło się w rzeczywistość, ponieważ spędzanie czasu na takim podwórku musi być wielką przyjemnością, która dawałaby nam wiele radości.

Moja szkoła



Wiktoria Maślanka, kl. 4a

Chodzę do Szkoły Podstawowej nr 2 przy ulicy Rymanowskiej. Moja szkoła usytuowana jest obok dużego osiedla Słowackiego, niedaleko centrum miasta Sanoka.

Budynek ma trzy piętra, szatnię, duże wejście od frontu i mniejsze od strony boiska. W piwnicy są szatnie, gdzie codziennie rozbieramy się po przyjściu do szkoły na lekcje i ubieramy wychodząc z niej. Elewacja pomalowana jest na kolor żółty, jak promienie słońca. Obok szkoły jest wielkie boisko, plac zabaw, na którym są : drabinki, huśtawki i zjeżdżalnie, bieżnia i skocznia. Wewnątrz korytarze oraz klasy pomalowane są na pastelowe kolory tęczy. Mamy też trzy sale gimnastyczne : lustrzaną - najmniejszą, a także małą i dużą salę. Na parterze jest gabinet pani dyrektor, sekretariat, gabinet pana kierownika i biblioteka. Na ścianach wiszą dyplomy potwierdzające osiągnięcia uczniów naszej szkoły.

W gablocie mieszczą się puchary zdobyte przez wychowanków szkoły na zawodach. Na pierwszym piętrze znajduje się gabinet pani higienistki. Na tym samym piętrze są sale klas drugich i trzecich. Drugie piętro zarezerwowane jest dla klas czwartych, piątych i szóstych. Znajduje się tutaj też pokój nauczycielski. Na trzecim piętrze jest czytelnia i gabinet pedagoga szkolnego.

Nauczyciele uczący są mili i wyrozumiali. W szkole odbywa się bardzo dużo konkursów szkolnych i międzyszkolnych. Uczniowie bardzo chętnie w nich uczestniczą.

W szkole czuję się wyśmienicie, gdyż mam tutaj wielu przyjaciół. Chętnie do niej chodzę, ponieważ codziennie zdobywam interesujące wiadomości i często spotykają mnie ciekawe przygody.



Daria Wielgosz, kl. 4b

Szkoła Podstawowa nr 2 im. Św. Kingi mieści się przy ul. Rymanowskiej. Niedaleko niej znajduje się rondo i Powiatowy Urząd Pracy.

Budynek jest trzypiętrowy, w kształcie litery „L”. Jest pomalowany na żółto i pomarańczowo. Jego główne wejście znajduje się od ulicy Słowackiego - są to ogromne, potrójne drzwi. Nad nimi wiszą dwie tablice z napisami: „Szkoła z klasą” i „Szkoła z tradycją”. Tuż przy szkole są dwa boiska. Pierwsze asfaltowe, na którym można grać w piłkę nożną, a drugie trawiaste z bieżnią.

W środku budynku jest naprawdę kolorowo. Parter jest pomalowany na zielono. Mieści się tam: biblioteka, sekretariat, gabinet pani dyrektor, mała sala gimnastyczna oraz gabinet stomatologiczny. W suterrenach są szatnie dla uczniów klas II-VI. Dla chętnych są szafki, które uczniowie mogą wykupić na czas użytkowania. Obok szatni znajduje się Izba Regionalna, której pomysłodawczyniami są panie: Lucyna Mazur i Teresa Fuksa.

Jeśli skieruje się w stronę biblioteki, a potem skręci w prawo, zobaczyć można drzwi do dużej sali gimnastycznej oraz do szatni dziewczynek i chłopców. Szatnie te służą do przebierania się przed wychowaniem fizycznym.

Na pierwszym piętrze, przeznaczonym dla klas II-III, jest sala zabaw i gabinet higienistki. Hol jest koloru pomarańczowego. Drugie piętro jest moim ulubionym piętrem. Jest ono pomalowane na żółto, a na środku korytarza przy oknie mieści się kolorowy sklepik, w którym można sobie kupić coś do jedzenia i picia. Jest także gabinet wicedyrektorki i pokój nauczycielski. Na trzecim piętrze znajduje się czytelnia. To piętro, tak jak parter, jest pomalowane na zielono. Tu mieści się jeszcze sala komputerowa, pokój pedagoga i psychologa.

Bardzo podoba mi się moja szkoła i bardzo lubię do niej chodzić.

Szymon Zdziebko, kl. 4b



Szkoła do, której chodzę, znajduje się przy ul. Rymanowskiej, usytuowana jest w pobliżu centrum miasta. Nie ma ładniejszej w całym Sanoku.

To duży, trzypiętrowy budynek z piętrem i szatniami w piwnicy. Budynek pomalowany jest na jasnożółty kolor, a dach pokryty jest srebrzystą blachą. Układ szkoły przypomina literę L – w krótkiej odnodze znajduje się duża sala gimnastyczna.

Do naszej szkoły prowadzą dwa wejścia. Jedno od strony, znajdującego się przy szkole boiska, a drugie - wejście główne - od ul. Słowackiego. Wchodząc tym wejściem przechodzimy przez duże, przeszklone drzwi. Za nimi znajdują się dwa filary i stoją duże, ozdobne donice z kwiatami. Następnie wchodzimy na korytarz parteru budynku.

W korytarzu możemy podziwiać dwie gabloty z pucharami. Są to nagrody za osiągnięcia uczniów tej szkoły. Na ścianie wisi, zrobiony z mosiądzu, portret patronki mojej szkoły. Jest nią św. Kinga. Po lewej stronie znajduje się sekretariat, gabinet pani dyrektor i biblioteka, z której wszyscy korzystamy, natomiast po prawej stronie jest mała sala gimnastyczna i gabinet stomatologiczny.

W klasach i na korytarzach wiszą kolorowe plansze, portrety i gazetki ściennie. Pierwsze piętro naszej szkoły jest koloru żółtego, znajduje się tam gabinet pani higienistki i sala zabaw. Na tym piętrze jest 6 sal, w których uczą się klasy 2 i 3.

Drugie piętro jest pomalowane na pomarańczowo. To piętro wszyscy lubimy, ponieważ jest tu sklepik szkolny z różnymi słodyczami. Znajduje się tu również pokój nauczycielski i gabinet pani wicedyrektor.

Trzecie piętro, jak i parter, jest pomalowane na zielono. Znajduje się tu czytelnia, gabinet pani pedagoga i pani psycholog.

W naszej szkole są dwie sale komputerowe: jedna na pierwszym piętrze, a druga na trzecim. Dla rozrywki w czasie przerw można skorzystać ze stolika do gry w szachy i warcaby, który znajduje się na trzecim piętrze lub z różnych zabawek dla młodszych klas (na pierwszym piętrze).

Mamy też bardzo duże boisko asfaltowe, bieżnię i nowo otwarty plac zabaw.

Bardzo lubię moją szkołę, panuje w niej dobra i miła atmosfera.

W KRAINIE SNU I FANTAZJI

Ja też odwiedziłem Królestwo Narnii



Wiemysław Śnieżek, kl. 4c

Pewnego razu, był to piątek, wracając ze szkoły pośliznąłem się i wpadłem w żywopłot. Gdy z niego wyszedłem, trafiłem wprost do przedziwnej krainy. W powietrzu latało mnóstwo światełek, które dawały rażące światło. Po chwili błakania się po nieznanym mi terenie, znalazłem malutką chatkę. Poszedłem tam i zapukałem do drzwi. Po chwili usłyszałem głos:

- Otwarte!

Wszedłem do środka. Były tam krasnoludki, było ich 5, może 6. Wszystkie chórem spytały:

- Czy jesteś synem Adama?

- Nie, mój ojciec ma na imię Wiesław – odpowiedziałem.

- A czy jesteś człowiekiem? – spytały ponownie.

- Tak, jestem – odpowiedziałem ze zdziwieniem.

Po chwili krasnoludki zaczęły rozmawiać między sobą:

- A może jest piątym królem? – zasłyszalem.

A potem zapytały mnie:

- Czy znasz Aslana?

Zdziwiłem się:

- Nie, a kto to taki? – zapytałem.

- To król puszczy, zaprowadzimy cię do niego.

Ruszyliśmy w drogę. Po dotarciu na miejsce krasnoludki wróciły do chatki. Przede mną stał wielki lew. Miał długą grzywę, wielkie łapy i długi ogon. Spytał mnie:

- Jak się tu znalazłeś?

- Przez żywopłot – odpowiedziałem. – Ale nie znam drogi powrotnej...

- Odprowadzę cię – zaproponował.

Przy żywopłocie ryknął tak głośno, że się przestraszyłem, wpadłem pomiędzy jego gałęzie i znów znalazłem się w normalnym świecie.



uciej Kosturski, kl. 4c

Pewnego dnia zaprosiłem do siebie moich kolegów, mieliśmy się pobawić. Zaczęliśmy od zabawy w łapanego. W pewnym momencie jeden z moich kumpi, który właśnie łapał, dostrzegł mnie i zaczął za mną gonić. Byłem w pułapce - musiałem uciekać do domu. Trochę za bardzo się rozpędziłem i byłem przygotowany na to, że wpadnę na ścianę, ale - ku mojemu zdziwieniu - było jeszcze gorzej - wpadłem w pokrzywy!

Szybko z nich wyskoczyłem, ponieważ byłem cały poparzony. Gdy podniosłem głowę, przeraziłem się nie na żarty – byłem na zielonej łące, a dookoła rósł potężny las.

- „To nie może być!” - pomyślałem, ale zaraz zmieniłem zdanie, gdy usłyszałem wiewiórkę, chodzącą na dwóch łapach i podśpiewującą wesoło. Teraz wiedziałem -jestem w Narnii! Czytałem kiedyś książkę o tej krainie, ale to, co widziałem, to nie była książka!

Pomyślałem, że warto się tutaj rozejrzeć. W lesie była mała dróżka. Dalej zobaczyłem latarnie – „-To latarniane pustkowia” - powiedziałem do siebie. Wtem coś zatrzeszczało. Wybiegłem na łąkę i zobaczyłem wielkie COŚ, biegnące wprost na mnie z maczugą.

- Stój Grzmotołupie! – usłyszałem głos i wtedy Grzmotołup, który był olbrzymem, zatrzymał się. Zobaczyłem czwórkę dzieci w koronach.

- Kim jesteś? – zapytał mnie najstarszy – Piotr.

- Jestem człowiekiem, trafiłem tu przez przypadek – odpowiedziałem.

- Panie, to może być jeden z niedobitków z armii Białej Czarownicy, w przebraniu – powiedział olbrzym.

- Schwytać go – rozkazał Piotr.

Fauny, centaury, krasnoludy i lamparty złapały mnie i zaprowadziłyby pewnie do lochu, ale napadli na nas prawdziwi żołnierze Czarownicy. Rozpoczęła się walka. Gdy zobaczyłem, że pewien minotaur uderzył Piotra w nogę, a on mógł już tylko klęczeć, chwyciłem jego miecz, który leżał na ziemi i zadałem minotaurowi celny cios.

Po bitwie rodzeństwo - za to, że uratowałem Piotrowi życie - pozwoliło mi odejść.

- Zawsze będziesz tu mile widziany – powiedzieli.

- Dziękuję - odpowiedziałem i wszedłem w parzące pokrzywy.

Gdy znalazłem się w swoim świecie, nie zdążyłem podnieść się z ziemi. Moi koledzy wykorzystali to i musiałem łapać, bo zabawa w łapanego trwała tu, jakby nigdy nic.

Nigdy nikomu nie powiedziałem o mojej przygodzie, ale mam nadzieję, że jeszcze wrócę do Narnii.



anna Kopiec, kl. 4c

Był to zwykły deszczowy dzień. Wstałam rano i spojrzałam za okno. Padał deszcz, mogę nawet powiedzieć, że lało. Nie znoszę takich dni! Gdy się ubrałam, podeszłam do kalendarza z tasiemką, która przesuwana się, na przykład z 18.04 - na 19.04. Jest to piękny kalendarz, na obrazkach, przedstawiających miesiące, są namalowane różne miejsca w jakiejś magicznej krainie ze snu. Podeszłam do niego i nagle coś jakby się poruszyło. W jednej chwili znalazłam się nie na dywanie, tylko na pięknej, lśniącej, zielonej trawie - była cudna.

Na początku pomyślałam, że to jest zwykły sen. Uszczypnęłam się kilka razy w rękę, ale dalej siedziałam na trawie. Nagle coś wyjrzało zza krzaków. Nie wiem dokładnie, co to było, ale zdawało się być bardzo dziwne. Osobnik wyglądał trochę jak koń, a trochę jak człowiek. Prościej mówiąc, głowę miał człowieka, a dwie nogi konia. Wokoło jego szyi był zawinięty szal, czerwony jak dojrzałe jabłko. Włosy miał kręcone, a uszy sterczały mu trochę jak słoniowi. Nagle znów się poruszył i rzekł:

- Jesteś córką Ewy?

Na początku nie zrozumiałam, ale potem coś mi zaświtało i odparłam:

- Tak. Przybywam z krainy Ziemia. A tak apropo, to gdzie się teraz znajduję?

- Jak to? Nie wiesz? Dostałaś się do krainy Narnii, którą z przekleństwa wiecznej zimy wybawiła czwórka dzieci i najpotężniejszy lew Aslan.

- Naprawdę? Nigdy o tym nie słyszałam.

- Co? – zdziwił się konioczłowiek i schylił się, klepiąc się mocno w głowę.

Na początku myślałam, że to moja wina, ale chwilę potem wstał i powiedział:

- Nazywam się Tumnus i jestem faunem.

Odpowiedziałam:

- Miło mi, ja nazywam się Zuzia i jestem dziewczynką.

Przez chwilę wydawało mi się, że rozmawiam z człowiekiem, ponieważ był taki miły, jak moja kochana babcia. Dziwnie się czułam, gdyż patrzył wprost w moje oczy. Faun zaproponował:

- Chcesz poznać ludzi panujących tym krajem?

- Pewnie! – odpowiedziałam mu, bez zastanowienia, lecz zaraz poczułam dziwnie, gdy pomyślałam o swoich rodzicach o, którzy na pewno będą się martwić. Wtedy Tumnus zapytał:

- Czy coś jest nie w porządku? Wydawało mi się, że przez chwilę byłaś strasznie smutna. Czy nic się nie stało?
- Nie, tylko się zamyśliłam.
- Na pewno ? – odrzekł, nie dowierzając mi.
- Tak. – odpowiedziałam troszkę zakłopotana.
- Ruszajmy więc! – odrzekł faun.

Na początku szło mi się wspaniale po świeżej trawie, później jednak zaczęłam trochę marudzić, że już mnie nogi bołą, więc niespodziewanie wziął mnie na ręce i powiedział:

- Uwaga, teraz się trzymaj bardzo mocno!
- Och! – zawołałam strasznie zaskoczona . Pobiegł tak szybko, jak prawdziwy koń.
- Wiesz, gdzie teraz biegniemy? – zapytał.
- Nie mam pojęcia. – odpowiedziałam.
- Na zamek Ker-Paravel, jest tam tak pięknie, jak w najpiękniejszej baśni. Gdy dobiegliśmy na miejsce, okazało się, że rzeczywiście zamek był tak piękny, jak mieszkanie jakiejś księżniczki. Z okna wyglądała jakaś mała twarzyczka .
- To jest Łucja! – donośnym głosem zawołał faun.

Gdy wreszcie siedliśmy przy stole, jakiś dostojny pan przyprowadził czwórkę dzieci. Byli to: Piotr, Zuzanna (moja imienniczka), Edmund i Łucja. Zapoznałam się z nimi. Byli dla mnie niezwykle mili. Niestety, tylko chwilę rozmawialiśmy, bo potem zobaczyłam identyczny kalendarz, jaki był u mnie w domu. Podeszłam do niego, żeby przesunąć tasiemkę i nagle znalazłam się w domu, w tym samym miejscu, co wcześniej. Tak naprawdę nie minęła nawet minuta od mojego zniknięcia

W krainie Narnii było świetnie, nigdy nie zapomnę tej wizyty.



ia Waclawska, kl. 4c

Pewnego zwyczajnego dnia, a była to sobota, obudziłam się strasznie zmęczona. Wstałam z łóżka i -jak zawsze w soboty - poszłam po bułki na śniadanie. Nagle, na chodniku nieopodal, zauważyłam czarnego kota (musze się przyznać, że jestem straszną kociarą). Kot ten był czarny jak węgiel, miał żółte jak ser oczy i patrzył na mnie dziwnym, przenikliwym wzrokiem. Podeszłam do niego, gdyż zauważyłam, że się mnie nie boi. On nadal nie uciekał, jednak gdy podeszłam jeszcze bliżej, poruszył się i zaczął powoli iść przed siebie, jakby chciał mnie dokądś zaprowadzić.

Szłam za nim, aż w końcu dotarliśmy do naszego miejskiego parku. W tym miejscu zawsze czułam się spokojnie, miałam zawsze wrażenie, jakby czas tam nie płynął, ale dziś odczułam to bardziej niż kiedykolwiek. Kiedy doszłam do źródelka w centrum parku, zaczęło dziać się coś bardzo dziwnego: kiedy dotknęłam wody, świat przez ułamek sekundy zaczął się kręcić. Zaraz potem zorientowałam się, że znalazłam się w całkiem innej rzeczywistości.

Było tam tak zielono, że aż raziło w oczy. Wszędzie łąki, kwiaty, drzewa, nasz park się do tego miejsca nie umywał. I nagle... wpadłam do dziury. Jakaś miła dziewczynka wyciągnęła mnie stamtąd. Okazało się, że to nikt inny jak ... Zuzanna - królowa Narnii. Akurat trafiłam na rocznicę pokonania Białej Czarownicy. Wszyscy bawili się świetnie. Sala była pięknie wystrojona: różowe zasłony na ścianach, kolorowe dywany na podłodze i wstęgi na suficie. Zuzanna rozmawiała ze mną na temat mojego powrotu do Sanoka.:

- A więc musisz wracać? – spytała smutno.

- Niestety, tak. – odpowiedziałam.

- Więc chodź za mną.

Odprowadziła mnie na tę samą polanę, na której znalazłam się na początku, a zaraz potem – znalazłam się w parku.

Popatrzyłam na zegarek- nie minęła nawet minuta. Poszłam więc po bułki, a potem wróciłam do domu. Nie powiedziałam o niczym rodzicom. Mogliby mnie wyśmiać.

Mam nadzieję, że to nie była moja ostania przygoda w Narnii.

Moje podwórko nocą



Aleksandra Mazgaj, kl. 4b

Fewnej nocy nie mogłam zasnąć. Przewracałam się z jednego boku na drugi, ale nic z tego – sen nie przychodził.

Rozmyślałam, co będziemy robić następnego dnia w szkole. Nagle usłyszałam dziwny głosik. Podeszłam do okna i zobaczyłam malutkiego Marsjanina. Byłam zaskoczona, bo nigdy nie widziałam czegoś tak dziwnego.

- Proszę, otwórz mi – poprosił cicho.

- Nie mogę rozmawiać z nieznanymi – oznajmiłam przerażona.

- Och przestań, przecież jestem maciupęńki i nic ci nie zrobię.

Z ciekawości wpuściłam go do domu.

- Jestem z planety Mars – powiedział obcy.

Z wielkiego zdziwienia nie mogłam nic powiedzieć, ale w końcu wydusiłam z siebie:

- Bardzo się cieszę, a jak masz na imię?

- Gucio.

- Miło mi, ja jestem Ola.

Był cały zielony. Miał śliczną, truskawkową kamizelkę, srebrne buciki i kapelusz w kratkę. Poruszał się jak robot. Tak bardzo mi się spodobał, że postanowiłam zrobić mu zdjęcie. Robił bardzo śmieszne miny podczas fotografowania. Zadawał mi bardzo dużo pytań. Później opowiadaliśmy sobie śmieszne historie ze swojego życia. Nagle weszła mama, a Gucio znikł. Kazała mi się położyć do łóżka. Szybko wykonałam to polecenie. Gdy ona wyszła, patrzyłam do każdej kryjówki, ale przybysza nie znalazłam. Do teraz co noc i wypatruję Marsjan. Wydaje mi się, że słyszę gdzieś z podwórza cichutkie głosiki.

Zapamiętam tę historię do końca życia, a zdjęcia Gucia trzymam ukryte w mojej szafce.



udia Jagielska, kl. 4b

W jednej nocy na moim podwórku dostrzegłam coś dziwnego.

Tego wieczoru nie mogłam zasnąć, więc postanowiłam poczytać książkę pt. „Opowieści z Narnii. Lew, czarownica i stara szafa”. Nagle usłyszałam trąbki, wyjrzałam za okno, a tu niespodziewanie w szybę zapukał mały wróbelek w czerwonym kubraczku, zielonym kapeluszu i w niebieskich trampkach, i wręczył mi kolorową kopertę mówiąc:

- Daję ci kopertę, w której jest zaproszenie do cyrku „Odblask”. Przyjdź do szklarni o 22:05. Będziemy czekać.

- Dobrze na pewno się zjawię. Do zobaczenia!- odpowiedziałam zadowolona.

- O! Zapomniałbym.- Gdybyś mogła, ubierz się na zielono.- rzekł do mnie wróbelek.

- Dlaczego?- zapytałam z zaciekawieniem.

- Wiesz, teraz to taka tradycja.

- Dobrze, rozumiem.- odpowiedziałam.- A czy buty też mają być zielone?

- Gdybyś mogła to załóż.- oznajmił.

- Mam jeszcze jedno pytanie. Czy będą tam jeszcze jakieś dzieci oprócz mnie?

- Ależ ty jesteś ciekawska.- odpowiedział pan wróbelek.- Dowiesz się wszystkiego, kiedy przyjdiesz.

- No dobrze, już nie zadaję więcej pytań, ale zrozum i mnie, to co się dzieje jest dla mnie takie dziwne. Sama rozmowa z ptakiem, który zna ludzką mowę to już niespotykana sytuacja.

- Bądź cierpliwa, usłuchaj mojej rady co do stroju i po prostu przyjdź, a nie pożałujesz.

- Dobrze wróbelku, przyjdę i mam nadzieję, że będę się dobrze bawić.

- No to do zobaczenia wkrótce. Pa!

- Pa! Pa!

Wtedy wszystko było jasne choć dziwne. Okazało się, że zwierzęta z mojego podwórka zorganizowały cyrk. Z początku myślałam, że śnię, lecz to nie był sen, to wszystko działo się naprawdę.

W końcu wybiła na kościelnej wieży 22:00 i wyruszyłam do szklarni, aby się nie spóźnić. Kiedy tam dotarłam, poproszono mnie, abym pokazała zaproszenie, które przyniósł mi pan wróbelek. W końcu zajęłam sobie miejsce w pierwszym rzędzie. Świetne było to, że każdy dostał po jednej paczce popcornu. Popcorn rozdawały dwie kurki - Ola i Tola, a trzecia kurka go smażyła.

Nareszcie zaczął się spektakl. Pierwszy występ przygotował mój pies Brutus i suczka sąsiadów, psinka Iwana. Oboje tańczyli na linach, bez zabezpieczenia. Drugi występ zaprezentowała krowa Flora, która żonglowała krasnoludkami. Było też wiele innych występów, jak np. popis osiołka Poko, który pilnikiem piłował sobie kopyta, mówił wierszyk i grał na fortepianie. Te wszystkie czynności wykonywał równocześnie. W pewnej chwili podeszła do mnie kotka Kremówka i poprosiła, abym wyszła na środek i odpowiadała na jej pytania wprost do kamery, którą sterował kogut Filip. Z początku się trochę wstydziłam, ale potem pomyślałam „Raz kozie śmierć!” i poszłam, tak jak prosiła. Pierwsze pytanie brzmiało tak:

- I jak? Podobało ci się przedstawienie?

- Bardzo chętnie pooglądałabym je jeszcze raz - odpowiedziałam podekscytowana.

Drugie pytanie, jakie mi zadała kotka, dotyczyło życia kotów. Niestety, nie udało mi się na nie odpowiedzieć, ponieważ nie posiadam aż tak dużej wiedzy o kotach. Ale mimo wszystko dostałam talizman za odwagę. W końcu wybiła północ. Zwierzęki odprowadziły mnie kawałek, a ja grzecznie podziękowałam za zaproszenie do cyrku. Szłam dalej, lecz kiedy się odwróciłam, aby im pomachać, już nikogo nie było, jakby po prostu zniknęli, a całe podwórko wyglądało jak zawsze.

Była to wspaniała noc, taka trochę magiczna. Do teraz się zastanawiam, czy to się zdarzyło naprawdę, czy tylko mi się śniło. Talizman, który otrzymałam od kotki, znalazłam na biurku. I co o tym myśleć? Ja myślę, że to piękny sen, który może znów mi się powtórzy.



ria Wielgosz, kl. 4b

Moje podwórko to nic ciekawego. Po „wielkim remoncie” już nic nie jest tak, jak wcześniej. Trawa wydeptana, huśtawka rozłożona na części i rzucona w kąt, a poziomki i porzeczkki już pewnie tego lata nie urosną. Nie bawimy się już z siostrą na naszym podwórku, bo nie ma jak. Jedynymi gośćmi, którym nasze podwórko sprawia frajdę, są bezdomne koty, które zrobiły sobie mieszkanie u naszego sąsiada w piwnicy. O tym podwórku już dawno zapomniałam, lecz pewnej nocy wszystko się zmieniło.

Tego wieczora nie mogłam zasnąć. Ciągle przewracałam się z boku na bok, ale to nic nie dawało. Nagle usłyszałam jakieś pukanie. Podeszłam do okna i zobaczyłam kota, siedzącego na parapecie. Otworzyłam okno i chciałam go przepłoszyć, żeby nie brudził, lecz kot zawołał:

-Zostaw mnie, bo rozczochrasz i zniszczysz mi futerko! Poza tym na dole jest błoto, a dzisiaj się myłam. Jestem Andrea. Muszę cię o coś poprosić, ale czy wyjdiesz na podwórko?

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc wyszłam przed dom. Tam czekała na mnie Andrea i osiem kociaków.

-Dzieciaki, przedstawcie się.- powiedziała kocica.

I po kolei, od najmłodszego do najstarszego, usłyszałam:

-Lilijka!

-Gucio!

-Zuzia!

-Piotruś!

-Krzysio!

-Maciek!

-Ala!

-Ela!

-Cześć!- odpowiedziałam zdziwiona.

Potem Andrea (ni z gruszki ni z pietruszki) zaczęła opowiadać:

-Moje kociaki od urodzenia bawią się w te same zabawy. Teraz im się to znudziło i ciągle jęczą. Nie mogę ich uspokoić i myślę, że potrzeba im nowej zabawy. Może ty pomożesz?

-Bardzo chętnie.- odpowiedziałam.

TRZASK!!! Razem z Andrea podskoczyłyśmy ze strachu. Okazało się, że kociaki dobrały się do blach stojących przy ścianie domu. Blachy zaczęły się chwiać

i poupadały na biedne maluchy. Szybko do nich podbiegłam i zaczęłam podnosić blachy. Musiałam szybko wymyślić jakąś zabawę.

-Może pobawimy się w berka?- zapytałam.

-Nie, to już się nam znudziło...- odpowiedziała Zuzia.

No to może w chowanego?- ponownie podjęłam próbę.

-Nie! To dobre dla dzieciaków!- odpowiedział Maciek.

-Już wiem! Znacie taką zabawę jak „Kotki w pułapce”?

Osiem par oczu patrzyło na mnie ze zdziwieniem.. Od razu wytłumaczyłam im, o co chodzi. Kociaki się zgodziły i zaczęła się zabawa. Mistrzynią w tej grze była Zuzia. Gdy maluchom znudziła się ta zabawa, zaproponowałam im piłkę nożną. Z domu przyniosłam małą piłkę, a bramkami były blaszki, które leżały przed domem. Zaczęła się rozgrywka. Najpierw przewagę miała drużyna nr 2, lecz na koniec meczu był remis. Niestety, przez ten remis drużyny zaczęły się kłócić. Próbowałam je uspokoić nowymi zabawami, ale nie dawały za wygraną. Nagle usłyszałam muzykę. Dochodziła z wnętrza krzaka. Kociaki też się tym zainteresowały. Podeszłam do miejsca, gdzie najlepiej słyszałam dźwięki, odchyliłam gałązki i zobaczyłam mysia dyskotekę! Za kulę dyskotekową służyła im moja ulubiona bańka na choinkę, którą kiedyś zgubiłam. Bańka była błękitna ze zrobionym na brokatowo miastem, na które sypie się śnieg. Gdy myszy zobaczyły koty, od razu zaczęły się chować.

-To mój kolejny problem.- odezwała się Andrea, która przemilczała całą zabawę- Myszy się nas boją i myślą, że chcemy je pożreć. My już dawno tego nie robimy, ale one nie chcą mi uwierzyć. Czy mogłabyś je jakoś przekonać żeby, chociaż wpuściły nas na dyskotekę?

Od razu zabrałam się do pracy. Myszy nie chciały się zgodzić, ale gdy przekupiłam je kolorową wstążką i światełkami na choinkę, impreza zaczęła się rozkręcać. Tańczyliśmy i wygłupialiśmy się.

Gdy dochodziła godzina 2.00, musiałam wracać do łóżka, żeby jeszcze trochę pospać przed pójściem do szkoły. Pożegnałam się z myszami i kocią rodziną, a w domu ze zmęczenia opadłam na łóżko. Rano, gdy wybierałam się do szkoły, sprawdziłam jeszcze podwórko. Kotów ani śladu. Myszy też nie widać. Jedyne w krzaku coś się mieniło. Podeszłam bliżej. To była bombka- kula dyskotekowa. To był znak, że to wszystko, co przeżyłam w nocy, zdarzyło się naprawdę.

Od tego czasu ciągle wychodzę na podwórko i próbuję porozmawiać z kotami, a następnie szukam w krzaku mysiej dyskoteki. Do tej pory nic nie znalazłam, ale mam nadzieję, że kiedyś się to uda.



alia Gurgacz, kl.4c

nego ranka, gdy Dorotka wstała z łóżka, mama przygotowała dla niej śniadanie. Dorota zjadła, ubrała się i poszła do szkoły.

Po lekcjach poszła do koleżanki, była u niej godzinę, bo uczyły się angielskiego.

Potem wróciła do domu. Zjadła obiad i wyszła pobawić się na swoje podwórko, które było naprawdę piękne: wszędzie rosła zielona trawa i kwitły stokrotki, kolorowe tulipany i prześliczne róże. Za domem był plac zabaw ze zjeżdżalnią i huśtawkami. Dorotka bawiła się ze swoim leniwym kotkiem „Puszkiem”, a wkoło nich biegał pies, który był zazdrosny, że ona bawi się z kotkiem.

Wieczorem wróciła z pracy mama i zawołała dziewczynkę do domu. Nawet nie zauważyła, że już zrobiło się późno. Dorotka razem z mamą poszły spać.

W nocy do ogrodu wdarli się dwaj chłopcy i zaczęli niszczyć kwiaty, trawę, popisali po zjeżdżalni brzydkie słowa. Kiedy uciekli, nagle podwórko ożyło! Zjeżdżalnia zaczęła jęczeć:

- Widzieliście?! To okropne! Te urwisy coś po mnie popisali!

W jednej chwili coś zamruczało:

- Musisz tak jęczeć?! Przez ciebie nie mogę spać! – odpowiedział ze złością Puszek, który wylegiwał się na huśtawce.

W owej chwili przybył na podwórko śliczny biały pies:

- Widzieliście?! Ktoś powyrywał tulipany i zniszczył trawę, a moją budę przewrócił!

- Nie, nie widziałam! Ale popatrz, jak po mnie popisali brzydkie słowa – powiedziała rozdrażniona zjeżdżalnia.

Kot, który leniwie słuchał jęków, odezwał się nagle:

- Nie jest tak źle! Zaraz poproszę chmurkę, żeby to zmyła. A wiatr zdmuchnie, powyrywane kwiaty i trawę.

Chmurka, która to usłyszała, zleciała w dół i umyła zjeżdżalnię z tego ohydneho napisu. Wtedy do akcji wkroczył kot. Napisał na zjeżdżalni tak: „Dorotka to nasza najlepsza koleżanka”. I wtedy kot poszedł z psem spać. Byli bardzo zmęczeni.

Rano, gdy Dorotka się obudziła, wszystko na podwórku było tak samo, tylko ten napis na zjeżdżalni ją zdziwił. Zastanawiała się, co tu w nocy mogło się dzieć.

Była bardzo ciekawa, ale pewnie już tego się nie dowie.



ateusz Mazur, kl. 4b

Pewnego wieczoru nie mogłem zasnąć. Nawet „liczyłem owce”. Nagle usłyszałem muzykę. Wychyliłem się przez okno i zobaczyłem dyskotekę na moim podwórku.

Dopiero wtedy przypomniałem sobie o urodzinach mojego kota Czarka. Na dyskotece było mnóstwo kotów. Chyba było ich tam ze sto. Wyglądało to tak, jakby wszystkie koty z miasta zebrały się na moim podwórku. W końcu zacząłem szukać mojego Czarka. Bacznie śledziłem wzrokiem każdego kota, czy to przypadkiem on.

Nagle muzyka ucichła. Mój wzrok skupił się na środku podwórka. Właśnie tam stanął bury kot sąsiada. Zamiauczał coś pod nosem i wyciągnął elektryczną gitarę. Podpiął ją do dwóch kotów - Plusa i Minusa. Gdy te miały już porządnie naelektryzowaną od grzebieni sierść, zaczął grać i śpiewać. Była to naprawdę kocia muzyka. Musiałem zatkać uszy.

W końcu go znalazłem. Czarek tańczył z jakąś kotką. Był ubrany w czarne spodnie, w które była włożona biała koszula, a na szyi miał muchę. Dosłownie! Na jego szyi wisiała zdechła mucha. Jego partnerka była ubrana w skromną, białą suknię z czarną kokardą.

Chwilę tańczyli i poszli na spacer w stronę ogrodu. Nie widziałem ich, ale byłem tak ciekawy, że przeszedłem do innego okna. Czarek wraz ze swoją partnerką siedzieli przy świetle księżycy w pełni. Patrzyli na siebie i...

- Mateusz wstawaj, bo się spóźnisz do szkoły!

- Mamuś! Jeszcze 5 minut - błagałem.

- Nie, w tej chwili wstawaj, ty wiesz, która jest godzina?

- No, ale mamuś, miałem taki fajny sen, a ty mi go przerwałaś. Śniło mi się...

- Wstawaj!!!- powtórzyła zdenerwowana mama.

Szkoda, że nie zobaczyłem, co było dalej... Mam nadzieję, że ten sen powtórzy się jeszcze.



ksandra Dubis, kl. 4b

Pewnego dnia leżałam na trawie. Myślałam, że dziś, tak jak od początku lata, będę wylegiwała się, słuchając śpiewu ptaków.

W radiu mówili, że może dzisiaj pokropić malutki deszczyk. Faktycznie, zaczęło się od kropienia, ale deszcz zmienił się w ulewę, a ulewa w grad. Byłam przerażona. Nie chciałam sama spać, gdyż bardzo się bałam. Czułam, że w nocy stanie się coś bardzo złego. W końcu położyłam się w łóżku. Chciałam, by moi rodzice myśleli, że śpię, ale tak naprawdę to całą noc chciałam być na podwórku i obserwować zachowania przyrody. Już chciałam wychodzić, gdy zobaczyłam, że moja mama leży na kanapie i ogląda swój ulubiony program. Bałam się, że nie uda mi się wymknąć, ale mama była tak bardzo wpatrzona w telewizor, że nie zauważyła, że wyszłam z domu drzwiami frontowymi.

Gdy znalazłam się na podwórku, zobaczyłam coś, czego nie jestem w stanie opisać. Drzewa tańczyły, kwiatki huśtały się na huśtawkach, słońce świeciło jak nigdy dotąd. Najdziwniejszym zjawiskiem wydało mi się to, że księżyc próbował się przebijać przez chmury, jakby chciał powiedzieć, że teraz jest noc i trzeba spać. Stało się także coś bardzo ciekawego: Słońce śpiewało jedną z moich ulubionych piosenek pt. „Dmuchałce, latawce, wiatr”. Gdy wszyscy mnie zobaczyli, nawet nie zwrócili na mnie uwagi. Przywitali się tylko ze mną i kontynuowali swoje zajęcia. Bardzo zaprzyjaźniłam się z kwiatkiem imieniem „ROUSE”, który wspinał się i osuwał po sznurze. Nagle Słońce z mikrofonem w „ręce” ogłosiło następujący komunikat:

- Teraz odbędzie się konkurs na najpiękniejszy wierszyk. Biorących udział proszę o wejście na scenę i zaprezentowanie swojego wiersza.

Po tych słowach dwa króliki, trzy krety, jeden kwiatek, osiem mrówek i cztery motyle weszły na scenę. Co działo się dalej, nawet nie chcę mówić. Wszyscy zaczęli krzyczeć, przepraszam - wykrzykiwać swoje wymyślone wierszyki. Po trzech minutach hałasu Słońce uspokoiło wykonawców i zarządziło, aby po kolei stawali na środku i recytowali.

- Był sobie gaj ze stadem wielkich jaj. – powiedział królik.

- Przecież to jest zupełnie bez sensu. - wykrzyknęła mrówka z pogardą.

- A ty masz lepszy wierszyk ? Hmmmmmm...

- Lepszy od twojego.

- Tak? To powiedz!

- W pięknej sukni w kwiaty, pisze mama list do taty... - zaczęła mrówka, ale nie mogła skończyć, gdyż królik przerwał jej śmiechem.

- Nic lepszego nie mogłaś wymyślić? Ha ha ha ...

- Niestety nie. – krzyknęła z oburzeniem mrówka.

- KONIEC KLÓTNI ! – krzyknęło Słońce najgłośniejszym głosem.

Nagle wszystko się uspokoiło i można było przeprowadzić konkurs. Wtedy usłyszałam głos:

- Czas do szkoły!

To był głos mojej mamy. Przetarłam oczy i zobaczyłam, że leżę w piżamie na moim łóżku. Zaczęłam się już przygotowywać do szkoły, ale w duchu sobie powiedziałam:

- Jutro tam wrócę ! Na pewno!



Przygoda w dziwnej krainie

Justyna Jasłowska, kl. 4b

Pewnego dnia z koleżanką Anią bawiliśmy się w ogrodzie w berka. Podczas zabawy weszliśmy w gęste krzaki i znaleźliśmy się w innym świecie.

Stałyśmy na zielonej łące, pełnej kwitnących kwiatów. Tam spotkałyśmy dziwną postać, która miała na imię Emsu.

Był to karzełek, który miał stojące zielone włosy i czerwone oczy. Ubrany był w pomarańczową marynarkę i czarne spodnie, oraz żółte buty z zakręcanymi noskami.

- Witam was dzieciaki – powiedział karzełek.- Skąd jesteście? Wasza rasa jest tu bardzo rzadka – dodał.

- Trafiliśmy do tego dziwnego świata podczas zabawy w berka – odpowiedziałam.

- Przychodzimy ze świata ludzi – dodała Ania.

Emsu zabrał nas do swojego domu, w którym była jego rodzina. Żona Efonia oraz dwie córki: Jemela i Amela, przyjęły nas bardzo serdecznie. Efonia poczęstowała nas ziołową herbatą i ciasteczkami. Było miło. Podczas rozmowy dowiedziałyśmy się, że kraina, w której jesteśmy, to Zakłana. Była to piękna i szczęśliwa kraina, w której wszyscy żyli w zgodzie, aż do czasu przybycia ogrów.

Ogry przywędrowały zza lasu i wprowadziły do Zakłany niepokój i smutek. Napadały na wioski i niszczyły je.

Karły miały już tego dosyć i postanowiły zemścić się na ograch, tylko nie wiedziały, jak tego dokonać.

- A wasz król nic nie może zrobić ? – zapytała Ania.

- Ogry porwały naszego króla i uwięziły go w lesie – odpowiedział Emsu.

- Nie ma wśród was innego dzielnego wojownika? – zdziwiłam się.
- Niestety, nie wiemy, kto to może być – powiedział Emsu.
- Trzeba więc zebrać armię i wybrać z niej najdzielniejszego – zaproponowałam.
- To dobry pomysł. Może najpierw wybierzemy się do wiewiórek. Widziałem, że nieźle strzelają z łuku – powiedział Emsu.
- Chodźmy, szkoda czasu – powiedziała Ania.

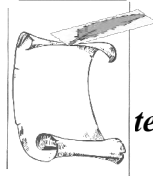
Nasza wyprawa do wiewiórek trwała dwadzieścia trzy minuty. Wiewiórki akurat strzelały z łuków. Chętnie przyłączyły się do nas. Potem poszliśmy do tygrysów, które również zgodziły się walczyć z ogami. Na końcu zebraliśmy armię, która składała się m.in. z karłów, wiewiórek, tygrysów, lwów i latających koni. Na dowódcę wybrano jednego z tygrysów.

Przed bitwą przygotowaliśmy broń i zbroje. Ostateczna walka rozegrała się w lesie. Wielu poległo, ale bitwa zakończyła się naszym zwycięstwem. Oгры zostały pokonane. Uwolniliśmy króla i świętowaliśmy zwycięstwo.

Wszyscy nam dziękowali za pomoc w zorganizowaniu armii i zachęceniu do podjęcia walki. W tym momencie spojrzałam na zegarek i zobaczyłam, że jest już po godzinie 19⁰⁰.

- Musimy wracać – powiedziałam do Ani.
- Tak, już czas – potwierdziła. Pożegnaliśmy się ze wszystkimi i wróciliśmy do domu. Umówiliśmy się, że nikomu nie powiemy, co nam się przydarzyło. Była to nasz tajemnica.

I tak odwiedzaliśmy tajemniczą krainę kilkakrotnie. Po zwycięstwie nad ogami panowała w niej radość i szczęście. Oгры już nie powróciły.



teusz Mazur kl. 4b

Opowiem wam historię, która przydarzyła mi się kilka lat temu w wakacje.

Było bardzo gorąco. Siedziałem w cieniu na krześle i głaskałem mojego kiciusia Czarusia. Nagle mój kot zastrzygł uszami, zeskoczył mi z kolan i zaczął się dziwnie zachowywać. Czubek ogona migotał na mu czerwono i „pipczał”. Bardzo się zdziwiłem i przestraszyłem. Miałem nadzieję, że to nic poważnego. Martwiłem się, że mój kot jest jakiś dziwny. W końcu przestał świecić i pipczyć. Położył się na trawie i mruczał, jakby nigdy nic się nie wydarzyło. Kamień spadł mi z serca.

Nagle Czarek gdzieś poszedł. Nudziło mi się, więc zacząłem go śledzić. Wyszedł przez dziurę w płocie i skierował się w stronę domu Kacpra. Cały ten czas śledziłem go bezszelestnie. Czarek nawet nie wiedział, że za nim idę. Nagle

wyskoczył pies Kacpra Maks. Czarek zaczął uciekać, Maks go gonił. Ledwo za nimi nadążałem. Czarek w końcu wskoczył na drzewo, a ja schowałem się w krzakach. Maks czekał pod drzewem, lecz wkrótce dał sobie spokój i uciekł do domu. Tygrys (tak czasami nazywam mojego kota) zeskoczył z drzewa i skierował się w stronę lasu. Czułem się dziwnie. W ogóle nie przejmowałem się tym, że oddalam się od domu.

Zśliśmy przez bagna, pokrzywy i kolczaste krzaki. Byłem bardzo zmęczony i dziwiłem się, po co mój kot tak daleko idzie. Wreszcie dotarliśmy do dwóch drzew zrastających się w jedno. Zdziwiłem się na ten widok. Siedziałem za drzewem w ukryciu i obserwowałem, co mój kot robi. Czarek przyłożył łapę do jednego z pni drzew, a w tym miejscu pojawiła się dziura, która się szybko pomniejszała. Tygrys tam wszedł i zniknął. Dziura była już mała, więc i ja szybko tam wskoczyłem.

Znalazłem się w jakiejś dziwacznej krainie. Czarek od razu mnie zobaczył i zapytał.

- Skąd się tu wzięłeś?

Ja zdziwionym głosem odparłem.

- Cały czas cię śledziłem i trafiłem tu razem z tobą.

Czarek był bardzo zły, że dowiedziałem się o tej krainie, lecz w końcu powiedział do mnie spokojnym głosem:

- No dobrze, skoro już tu jesteś, to musisz mi pomóc.

-, Ale gdzie ja jestem i w czym mam ci pomóc? Proszę wytłumacz mi, co się stało.- odparłem bardzo zdezorientowany

- Szkoda na to czasu, ale wszystko ci opowiem. Jestem tajnym agentem. I właśnie zostałem wezwany na misję. Znajdujemy się w południowej części Kotolandii. Ja, jako jeden z niewielu kotów znam przejście do świata ludzi. Służę królowi Kitiketiemu IV. Skoro tu jesteś, będziesz musiał pomóc mi w misji. A! I jeszcze jedno - nie nazywam się Czarek, tylko Czarbond agent 007. Ale jak chcesz, to możesz mówić do mnie po prostu Czarek.

Tygrys skończył objaśnienia i bardzo się przy tym zmęczył.

- A jak wypełnimy tę misję, to będę mógł wrócić do domu? – zapytałem.

- Tak - odparł Czarek. Musimy iść do króla po rozkazy, zanim noc nas zastanie.- poinformował mnie.

W końcu ruszyliśmy w drogę. Po dwugodzinnym marszu w słońcu obaj się zmęczyliśmy. Byliśmy bardzo głodni i słabi. Zatrzymaliśmy się i Czarek powiedział:

- Musimy odpocząć i zebrać siły na dalszą drogę. Wstąpmy do mojego kumpla. Zaopatrzymy się w potrzebny prowiant i odsapniemy trochę.

- To dobry pomysł, nie czuję nóg, jestem taki zmęczony, że zaraz padnę. – odpowiedziałem.

Wkrótce dotarliśmy do wielkiej grotty. W środku było chłodno i przyjemnie. Czarek kazał mi zaczekać w progu, a on tymczasem załatwiał coś z rudym kocurem. Wkrótce mnie zawołał i oznajmił:

- Zmiana planów. Zostajemy na noc u mojego kumpla Aleksa.

Aleks okazał się bardzo miłym kotem. Muszę także przyznać, że jego żona Misia zrobiła świetną kolację. Na tę kolację był pstrąg smażony. Bardzo mi smakował. Nawet poprosiłem o dokładkę, (co mi się rzadko zdarza). Po kolacji poszliśmy spać, aby nabrać sił na dalszą drogę.

Rano Aleks z Czarkiem pakowali plecaki, a ja jeszcze słodko spałem. W końcu Tygrys mnie obudził. Była wtedy godzina czwarta nad ranem. Ja, dziwnym trafem, od razu wstałem. Gdy wyruszaliśmy, była jeszcze rosa na trawie. Natychmiast buty mi przemokły i było mi niewygodnie. Czarkowi mokra trawa w ogóle nie przeszkadzała. Szliśmy przez las, a gdy wyszliśmy już z tego lasu, ujrzeliśmy wielki zamek z bardzo wysoką wieżą pośrodku. Na wierzchołku dachu tej wieży powiewała wielka flaga. Była cała czarna, a w prawym dolnym rogu miała biały ślad kociej łapy. Zamek był na wysokiej górze. Gdy wchodziliśmy pod tę górę, było samo południe. Straszny upał spowodował, że było bardzo ciężko wdrapać się na sam szczyt. Kiedy w końcu dotarliśmy do wrót zamku, straż od razu wpuściły nas do środka.

Król bardzo ucieszył się na widok Czarka, lecz gdy mnie zobaczył, przestraszył się. Czarek od razu zaczął wszystko tłumaczyć jego wysokości królowi Kitikietemu IV.

- Witaj mój królu. – po tych słowach skłonił się nisko i kontynuował:

Jak widzisz, przyprowadziłem ze sobą człowieka. Przepraszam! Nie chciałem, żeby dowiedział się o tej krainie, lecz skoro już tu jest, pomoże nam w misji.

-To świetnie, że twój nowy alarm na ogonie działa, miałem nadzieję, że zjawisz się trochę szybciej. Misja jest bardzo poważna. Ukradziono magiczny kamień. Podejrzewamy o ten czyn Lorda Buldoga. Musisz ten kamień jak najszybciej odnaleźć, zanim stanie się coś złego.

Nagle otworzyły się wrota i do sali tronowej wszedł jeden z ministrów.

- Nasze przecucia się sprawdziły Panie. Lord Buldog jest sprawcą. Jeden z naszych szpiegów przyłapał go na psiej wieży. Stały tam już dwa inne magiczne kamienie. Jeżeli znajdzie lub ukradnie jeszcze jeden taki kamień, to zyska władzę nad wszystkimi zwierzętami. – skończył mówić bury kot, bardzo przy tym sapiąc.

-Dobrze się spisałeś, mój ministrze. Proszę zwołaj mi tu wszystkich kocich agentów - poprosił król.

Po chwili cała sala tronowa wypełniła się kotami. Gdy już wszyscy agenci się zebrali zarządziliśmy, że trzeba obmyślić różne strategie. W końcu zapytałem o trzeci kamień.

- Ostatni magiczny kamień ma król Wiewiórek.- odpowiedział jeden z agentów.

- Mam pomysł królu. Lord Buldog uda się po ostatni kamień. Musimy być tam przed nim i ostrzec wiewiórki. Tymczasem, w czasie, gdy Lorda nie będzie w jego zamku, zakradniemy się tam.

- Świetny pomysł! Będziesz dowodził całą akcją.

- Dziękuję królu. Którzy z waszych agentów są najszybsi?

- Ci dwaj. Wskazał król na dwóch wysokich agentów.

- Szybko, biegnijcie ostrzec króla wiewiórek, a reszta agentów za mną i za Czarkiem! - rozkazałem.

Gdy już dotarliśmy do zamku Lorda Buldoga, porwaliśmy jednego z psich agentów. Zmusiliśmy go do zdradzenia, gdzie są ukryte magiczne kamienie, które zostały skradzione. Okazało się, że są w podziemiach zamku. Wszyscy agenci ich szukali, lecz znalazł je Czarek agent 007.

W drodze powrotnej spotkaliśmy Aleksa. Bardzo się ucieszył z naszej udanej misji. Gdy doszliśmy do zamku, okazało się, że nie ma króla, porwano go. Za pomocą kociego magicznego kamienia od razu dowiedzieliśmy się, kto i gdzie go porwał. Był to Lord Buldog. Zabrał go do swojej kryjówki. Od razu ruszyliśmy królowi z pomocą. Po dotarciu do kryjówki tego podłego psa, zobaczyliśmy, że torturuje naszego króla. Chciał od niego wymusić informację, gdzie znajduje się ostatni magiczny kamień, lecz pokrzyżowaliśmy mu jego plany. Armia kocich agentów raz dwa związała Lorda Buldoga i zajęła się królem Kitiketem.

Po dotarciu do zamku natychmiast wtrącono Lorda Buldoga do lochu i oddano ciężko rannego króla w ręce lekarzy. Kiedy w końcu Król Kitiket poczuł się lepiej, zarządził paradę. Na rynku Kotolandii zgromadziły się tłumy kotów. Król zaprowadził mnie na wielki taras. Byli już tam wszyscy agenci, którzy brali udział w misji. Kitiket IV wygłosił krótką mowę na mój temat i wręczył mi medal za uratowanie mu życia i bardzo dobre dowodzenie całą misją. Następnie wymienił zasługi Czarka, złożył mu gratulacje i również wręczył medal, na którym widniał napis: „Za przyprowadzenie do Kotolandii bohatera i bohaterskie czyny”. Później Król wzywał po kolei wszystkich agentów i wręczał im medale za odwagę. Czarek dostał jeszcze od króla wielką pakę kocich chrupek.

Następnego dnia król mianował mnie dowódcą i podarował mi taki sam alarm, jaki miał Czarek. Prosił mnie także, abym zawsze przychodził zawsze, kiedy usłyszę sygnał tego urzędnika. Byłem bardzo z siebie dumny. Późnym wieczorem poszedłem spać. Z samego rana wybraliśmy się do magicznego przejścia. Przez całą drogę towarzyszył nam król. Po dotarciu do drzew, ja uroczyście przyłożyłem „łapę” z alarmem do pnia i przeszedłem na drugą stronę razem z Czarkiem. Okazało się, że nie było nas kilka sekund. Niestety w naszym świecie Czarek nie umiał mówić, ale i tak doskonale rozumieliśmy się z moim „Czarendem”.

Nie mogłem doczekać się następnych przygód w Kotolandii. Miałem nadzieję, że alarm niedługo zabrzączy. I zabrzączał, ale o tym opowiem innym razem.



Aleksandra Prodziewicz, kl. 4b

Opowiem wam o mojej przygodzie, która wydarzyła się całkiem niedawno. Podczas zabawy w chowanego, razem z moją koleżanką Ewą, znalazłyśmy się w obcej krainie. Cała przygoda zaczęła się jednak normalnie. Ja, Ewa i Paulina bawiłyśmy się w chowanego, Paulina liczyła. Obie z Ewą schowałyśmy się za krzakami i wtedy coś przeniosło nas do innej, nieznanej krainy, nazwy której jeszcze nie wyjawię.

W tej krainie, jako pierwszą spotkałyśmy panią Marię Balóniek, która (co nas najbardziej zdziwiło) była balonowym człowiekiem. Zaprosiła nas na herbatkę i ciasteczka do swojego balonowego domku. Tam odpowiedziała na nasze pytania:

- Jesteście w Balóniowie, a rządzi tu cesarzowa Fra-Jam.

- A czy ona ma wielkie moce magiczne?- wypaliła Ewa.

- Och, magiczne nie, ale ma mnóstwo igieł, które mogą nas zniszczyć- odpowiedziała pani Maria

-O, jeśli tak, to możemy pomóc, plan jest taki: -rzekłam. Tu nachyliłam się ku pani Marii i Ewie zaczynając im tłumaczyć. Według moich instrukcji pani Maria miała wyprawić bankiet na cześć królowej, na którym wszyscy mieli wyglądać jak ona. Jednocześnie umówiłyśmy się, że nikt nie weźmie ze sobą torebki.

Gdy władczyni przybyła na bankiet, pani Maria rzekła:

- Wasza Wysokość, proszę zdjąć z ramienia torebkę i zostawić przed wejściem- tu wskazała na gości bez torebek.

Kiedy wszyscy weszli do środka, my z Ewą wzięłyśmy torebkę władczyni i pobiegłyśmy do zamku. Gdy tam dotarłyśmy, po żmudnych poszukiwaniach odnalazłyśmy pokój z igłami w miskach. Wtedy rozpaliliśmy w piecu i wrzuciłyśmy tam wszystkie igły. Kiedy mieszkańcy Balóniowa dowiedzieli się o zniszczeniu igieł, przepędzili królową na koniec świata.

Smutne, że nie mogłyśmy tam zostać dłużej, wróciłyśmy do domu. Na nasze nieszczęście nie miałyśmy pojęcia o różnicy czasu. Okazało się, że gdy wyszłyśmy z ukrycia, Paulina jeszcze nie skończyła liczyć.

Nigdy nie zapomnę mojej przygody w Balóniowie. Przeżyłam tam z Ewą niezapomniane chwile. Możliwość uratowania balonowych ludzi sprawiła nam

wiele radości. Bardzo często chodziliśmy w tamto miejsce, lecz nigdy więcej nie odwiedziliśmy Balóniowa.



mon Zdziebko, kl. 4b

W pewnego dnia wybraliśmy się z rodziną do Warszawy, a dokładnie do Muzeum Wojska Polskiego. Oglądając pojazdy pancerne zauważyłem, że można wejść do jednego z czołgów.

Podbiegłem do niego, obejrzałem go na początek z zewnątrz, a później wszedłem do środka i zamknąłem właz. Zasiadłem za sterami i czułem, jakbym naprawdę prowadził, ale to musiała być moja wyobraźnia. Po chwili stwierdziłem, że może jednak już wyjdę, żeby rodzice się nie martwili. Otworzyłem klapę i zauważyłem, że cofnąłem się w czasie.

Był rok 1941 trwała druga wojna światowa, a ja znalazłem się swoim czołgiem na polu bitwy pod Studziankami. Po zakończonej bitwie nasz pułk zakwaterował się w jakimś opuszczonym zamczysku. Ja, ponieważ zawsze jestem ciekaw przygód, wybrałem się na obchód po zamkowych komnatach. W jednej z nich spostrzegłem zbroję rycerską. Postanowiłem się w nią przebrać.

Kiedy założyłem hełm i przykniąłem przyłbicę, zapanował dziwny hałas. Gdy rozejrzałem się wokoło, zauważyłem, że znalazłem się wśród smoczej rodziny. Smoki okazały się bardzo przyjazne, nawet jeden z nich zaproponował mi wycieczkę na swoim grzbiecie po smoczej krainie. Bardzo mi się to podobało, byłem oszołomiony. W końcu smok zostawił mnie na wzgórzu i wrócił do swojej jamy. Poczuliem się jak mały skrzacik wśród olbrzymich lasów i żyjących w nim zwierząt. Zwierzęta te wyglądały dziwnie, niektóre były roślinożerne a inne mięsożerne, przed tymi ostatnimi musiałem się ukrywać. Niektóre miały długie ogony i szyje, sięgające aż po czubki drzew. Dopiero później domyśliłem się, że to są dinozaury. Kiedy wybrałem się na spacer po lesie, zauważył mnie tyranozaur. Zacząłem przed nim uciekać z obawą, że może mnie zjeść, ale wtedy na szczęście znalazłem skorupkę jaja, z którego wykluł się mały dinozaur, wskoczyłem do środka i w ten sposób przeniosłem się do mojego świata.

Pobiegłem do rodziców i okazało się, że tak naprawdę nie było mnie kilka minut. To czas fantazji tak szybko płynie, możemy w nim znaleźć się tam, gdzie tylko chcemy. Lubimy czasem sobie pofantazjować i pozmyślać.



Dalsze losy Dedala

str Gabriel, kl. 6b

Dedal po pochowaniu swego tragicznie zmarłego syna udał się na Sycylię do króla Kokalosa.

Został tam bardzo cenionym wynalazcą i artystą.

Żyłby na wyspie w spokoju, gdyby nie zawiść króla krety Minosa. Przebył on wiele kilometrów statkiem, by w końcu odnaleźć Dedala na Sycylii. By go złapać, wysłał posłańców i zaprosił śmiałków do trudnego konkursu. Jeden z nich dotarł do pałacu króla Kokalosa:

- Mój pan poszukuje śmiałka, który przeciągnie jedwabną nić przez muszlę pełną zakamarków.- oznajmił posłaniec- Jeśli mu się uda, otrzyma nagrodę.

- Ja zgłaszam się do tej próby- rzekł Dedal.

- Chodź więc ze mną- ogłosił posłaniec.

- Ruszajmy w drogę teraz, by dotrzeć do twego pana na czas- zaproponował Dedal.

Po tej rozmowie ruszyli ku pobliskiej wsi. Leżała ona niedaleko wybrzeża, w malowniczej kotlinie otoczonej laskami i skalnymi wyrwami, o które rozbijały się majestatycznie wielkie fale. Nieco dalej widać było małą przystań z kilkoma rybackimi łodziami.

Po przybyciu weszli do gospody pełnej już młodych i starych zawodników, czekających na rozpoczęcie konkursu. Pośrodku, na wygodnym krześle, siedział sam król Minos. Dedal przestraszył się, lecz postanowił wziąć udział w konkursie. Dokonać tego mógł tylko on. Wiedział o tym doskonale Minos i czekał, aż przyjdzie kolej Dedala. Próbowało wielu, lecz nikt nie wykonał trudnego zadania. W końcu przyszedł czas na Dedala. Wpadł on na pomysł wywiercenia otworu w ślepych końcu muszli, posmarowania miodem oraz wpuszczenia do środka mrówki z przywiązaną jedwabną nicią. Mrówka, szukając miodu, przeszła przez całą muszlę.

Minos próbował pojmać Dedala, lecz jego już nie było. Skrył się w leśnej chatce i czekał, aż Minos odpłynie. Król Krety nie czekając długo, popłynął na swoją wyspę czerwony ze złości. Dedal powrócił na dwór króla Kokalosa.

- Drogi królu, jestem ci wdzięczny za to, że mnie nie wydałeś Minosowi- powiedział spokojny już Dedal.

- Nie dziękuj, nawet nie pytam o to, czym zawiniłeś władcy Krety. Proszę zostań tu i twórz dla mnie arcydzieła oraz wynalazki- zaproponował król Kokalos.

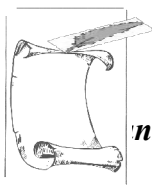
- Uczynię to królu w ramach podziękowania- rzekł Dedal.

Król Kokalos był znawcą sztuki oraz entuzjastą wynalazków. Miał również mądrość i spryt. Dla poddanych był zawsze sprawiedliwy, wspaniałomyślny i szczodry. Nie lubił ubierać się jak bogacz. Nosił lekkie ubranie, jedynym elementem odróżniającym go od poddanego była korona. Dedal znów posiadał kunszt we wszelkiej sztuce oraz rozwagę w tworzeniu wynalazków. Był mądry i sprytny, lecz jego wadą było to, że bywał czasem w gorącej wodzie kąpany. Cechowała go też logika myślenia i dokładność.

Na Sycylii Dedal został do śmierci, tworząc wiele dzieł sztuki i wynalazków. Były to między innymi plaster miodu ze szczerego złota do świątyni Afrodyty, ruchome lalki dla córeczek Kokalosa czy też modele rydwanów dla jego synów oraz wiele więcej.

Po śmierci został zaproszony przez Hefajstosa do warsztatu, by pomagać mu w pracy.

Wykonywał tam piękne rzeczy dla bogów oraz bogiń i pewnie wykonuje je do dziś.



Wycieczka w kosmos

anna Smarzewska, kl. 6b

Pewnego razu na lekcji przyrody uczyliśmy się o naszej galaktyce i wszechświecie. Pani opowiadała nam o innych, odległych planetach, położonych kilkaset lat świetlnych od naszej, o pierwszych wyprawach w kosmos i ciekawych odkryciach. Dowiedzieliśmy się, że większość z nich jest jeszcze do końca niezbadana i, jak się przypuszcza, tylko na naszej planecie istnieje jakaś cywilizacja. Wydało mi się to mało prawdopodobne. Prawie jednogłośnie zadeklarowaliśmy, że gdy tylko nadarzy się okazja, to właśnie my, uczniowie klasy VI b wyruszymy w poszukiwaniu oznak życia na innych planetach.

Zbliżał się koniec roku szkolnego, kiedy to zwykle planujemy wycieczki, więc poprosiliśmy naszą panią, aby w tym roku polecieć w kosmos. Wychowawczyni była mocno zdziwiona naszą propozycją.

- Jak chcecie to zrobić? - zapytała. Ale my na wszystko mieliśmy już gotowe odpowiedzi. Wszystko było starannie zaplanowane.

- Mój tato załatwi raketę i pomoże mam wypożyczyć specjalne skafandry - zawołał Jacek.

- Prowiantem zajmą się dziewczyny – dodała Zosia.

- A pani od przyrody pomoże mam opracować dokładną mapę nieba i wytyczyć trasę podróży.

Wszystko było przygotowane w najdrobniejszych szczegółach. W szkole o niczym innym nie mówiono, tylko o naszej wyprawie.

Nadszedł oczekiwany przez wszystkich piątek – 23 czerwca 2079 roku. Cała klasa, odpowiednio ubrana, czekała na lądowisku. Rakieta była przygotowana, nie było tylko pilota. Po chwili zjawił się w towarzystwie pani dyrektor, która pożegnała nas, życząc udanej wyprawy.

- Może będziecie pierwszymi odkrywcami. Jeśli uda wam się odnaleźć jakieś inne stworzenia, to zaprosicie je do naszej szkoły – powiedziała.

Po krótkim pożegnaniu wsiedliśmy do rakiety, która odpaliła i tak rozpoczęła się najciekawsza podróż w naszym życiu. Wznosiliśmy się coraz szybciej i coraz wyżej. Ziemi nie było już widać tylko chmury i chmury. Robiło się coraz ciemniej i ciemniej, ale wszystko szło zgodnie z planem. Trzymaliśmy się wytyczonego wcześniej kursu. Wybraliśmy Jowisz, gdyż o nim wiedzieliśmy najmniej i do tej pory nikt tam jeszcze nie dotarł. Poruszaliśmy się z niesamowitą prędkością. Po kilkunastu godzinach na naszym pokładowym radarze pojawił się jakiś punkt.

- Chyba zbliżamy się do celu – ktoś zawołał.

Wszyscy bardzo ciekawi otoczyliśmy pilota, chcieliśmy widzieć jak najwięcej. Nagle nasza rakieta w coś uderzyła i zatrzymała się. „Jesteśmy na miejscu” – powiedział pilot. Zaczęliśmy więc przygotowywać się do opuszczenia naszego pojazdu kosmicznego. Powoli włączony otwierał się i pojedynczo zaczęliśmy wychodzić na zewnątrz. Jakże wielkie było nasze zdziwienie, gdy ujrzeliśmy przedziwne istoty, które wyszły nam na spotkanie. Było ich bardzo dużo, niczym cała armia. Wyglądali śmiesznie. Byli niewielkiego wzrostu, ubrani w niebieskie niby-kombinezony. Ich twarze przypominały maskę gazową. Olbrzymie, okrągłe oczy, długie, zwisające nosy, zamiast ust mieli prostokątne otwory. Każdy miał po dwie pary rąk, umieszczonych naokoło sześciennego tułowia. Kształtem bardziej przypominali bryły geometryczne, niż ludzi. Było bardzo głośno, wydawali z siebie przedziwne okrzyki. Staliśmy jak wryci, trochę przerażeni, trochę zaciekawieni, co będzie dalej. Nagle kilku z nich, jakby delegacja, ruszyło w naszą stronę. Kiedy byli już blisko, jeden, najgrubszy i najwyższy, przemówił:

- Hhaalloouu! Wwittaammy lluuddkkii uu Jjoowwissooww. Kkiimm jjeeaassteessciiiee, aa zzaaa ccyymm kk nnaamm lleecciicciiee. (*Cześć, witamy was ludzie na Jowiszu. Kim jesteście i po co tu przylecieliście?*) - wydobył z siebie.

Do rozmowy z nimi wytypowaliśmy Jacka, jako najodważniejszego spośród nas.

- Przybywamy z planety Ziemia. Mamy przyjazne zamiary. Chcemy was poznać i się zaprzyjaźnić – głośno zawołał Jacek, gestykulując rękami, aby lepiej go zrozumieli.

- AA jjaakk nnaass nnaalleezzlii. Ttuu nnikkaajj nniie byylloo lluuddkkooww. (*A jak nas odnaleźliście?. Tutaj nigdy nie dotarli ludzie.*) – wybełkotał tubylec.

- Cieszymy się, że udało nam się do was dotrzeć. Może pokażecie nam swoją planetę., a my opowiemy wam o naszej? Ale najpierw się przedstawimy – kontynuował Jacek. Mówił bardzo powoli, aby mogli wszystko zrozumieć.

_ To jest Jurek, Krzysiek, Zbyszek, Ala, Zosia, Asia – Jacek wymieniał nasze imiona, a my grzecznie kiwaliśmy głowami.

- Mmiillloo, mmyy bbyycc Jjowwiisseekk 1, Jjoowwiisseekk 2, Jjoowwiisseekk 298737821 Pprroosimm dodo kkaasstteeddoonnooww, ttaamm mmiieesskaammy. Wwssyyssttkkoo ppookkaazzeemm, mmyy tteez cciieekkaawwee coco uu waass. (*Miło nam, my jesteśmy Jowiszek 1, Jowiszek 2..... Zapraszamy do naszych domostw. Wszystko wam pokażemy, my też jesteśmy ciekawi, jak wy żyjecie*) – wyjąkał.

I tak rozpoczęła się ziemsko- jowiszowska przyjaźń.

Zaprowadzili nas do swojej wioski. Przypominało to raczej wielkie złomowisko. Wszystko było z metalu, olbrzymie konstrukcje, po których poruszały się zdalnie sterowane roboty, szybko- zasuwatory. Ich domy wyglądały jak metalowe puszk. Na ścianach, zamiast obrazów, wisiały koła zębate i inne dziwaczne przedmioty, trudne do opisan. Nie było tam zieleni, drzew, kwiatów, ptaków, ani żadnych zwierząt. Wszystko było, szare, ponure, zimne.

Zaprosili nas na poczęstunek. Był to ciemnofioletowy napój, o kwaśnym, lekko cierpkim smaku, podany w małych, metalowych kubkach. Nie mieliśmy na niego zbytnej ochoty, ale nie wypadało odmówić, więc musieliśmy skosztować. Niektórym przyszło to z wielkim trudem. Zosia krzywiła się, robiąc dziwaczne miny, zaś Zbyszek wypił jednym tchem i powiedział, że bardzo mu smakowało.

Po kilku dniach pobytu zdążyliśmy się zdomowić i całkiem nieźle się dogadywaliśmy.

Opowiedzieliśmy im o naszej planecie, naszym, kraju, w końcu o Sanoku i naszej wspaniałej szkole. No i oczywiście zaprosiliśmy ich do nas z wizytą. Bardzo się ucieszyli i obiecali, że nas odwiedzą.

Nasza wycieczka dobiegała końca. Na drogę każdy z nas otrzymał od naszych nowych przyjaciół podarunek. Były to telekosmofor, coś jak nasze komórki, dzięki którym będziemy mogli porozumiewać się z nimi, takie międzyplanetarne telefony. My również podarowaliśmy im przedmioty, które mieliśmy ze sobą: telefon, suszarkę do włosów, zegarek, kalkulator, itp. Dla nich będą bezużyteczne, więc na pewno ich nie wykorzystają, tylko schowają na pamiętkę.

Na pożegnanie przybyli prawie wszyscy kosmici. Cieszyliśmy się z tego. Było pewne, że nas polubili.

- Będziemy z wami w kontakcie, dzięki telekosmoforum. Do zobaczenia! – zawołał miłośnik chóru.

- Ddoo hhaalloouuu !!!! (*Żegnajcie!*)– odpowiedzieli i nasza rakieta wyruszyła w drogę powrotną.

Przez cały czas rozmawialiśmy o naszej nieprawdopodobnej wyprawie. Dobrze, że mamy pamiątki z Jowisza, bo nikt by nam nie uwierzył, że tam dotarliśmy.

Po wylądowaniu okazało się, że czekali na nas nie tylko rodzice, ale i wszyscy uczniowie oraz nauczyciele naszej szkoły. Ale nic dziwnego, w końcu jako pierwsi odkryliśmy nową cywilizację. Jesteśmy bohaterami. Wychowawczyni była z nas dumna.

To była najdłuższa, najciekawsza i najdziwniejsza wycieczka. Długo będziemy o niej pamiętać i opowiadać.



Wieria Berdysz, kl. 6b

W naszej technice od dawna budowaliśmy maszynę, aby wyruszyć w najlepszą wycieczkę szkolną na świecie. Mieliśmy się wybrać na nieznaną planetę Kosmitona. Chcieliśmy ją zbadać i czegoś się o niej dowiedzieć.

Nareszcie, machina była gotowa. Była zielono- żółta i cała pokryta niebieskimi, migoczącymi światełkami. W środku miała dwadzieścia cztery czerwone fotele. Przypominała mały samolot. Zadowoleni wsiedliśmy do środka. Nacisnęliśmy guziki i maszyna się uniosła. Na początku lecieliśmy wolno, jednak później coraz szybciej. Po wielu godzinach wylądowaliśmy. Znaleźliśmy się na Kosmitanie. Wyszliśmy z samolotu i wtedy coś w nim pękło, a jedno skrzydło się odłamało. Próbowaliśmy coś z tym zrobić, ale nagle Sandra zauważyła coś pomarańczowego. Domyśliliśmy się, że musiała to być Kosmitanka, ponieważ miała na sobie różową sukienkę i kokardki na bardzo długich uszach. Uśmiechnęła się do nas.

-Cześćm. Jesteście przybyszami z Ziemi? Czekaliśmym nam wasm.

- Czemu tak dziwnie mówisz?- zapytała Emilka.

-I skąd wiedzieliście, że przylecimy?- dodał Piotrek Gabriel.

Jednak Kosmitanka patrzyła na nas bezmyślnie.

-Trzeba wszędzie dodawać m- powiedział Miłosz.

Więc jeszcze raz zadaliśmy pytania z literą m.

- Ochm, tom naszym językm- odpowiedziała Kosmitanka.- Om, im pom prostum jużm mieszkająm um naszym Ziemiąniem, bom bardzom imm sięm tum spodobałom. Am ponieważm sąm tacy m milim, chcemy m więcej m ludz m.

Dlatego zawsze chcemy ciepło wasm witać. Jam jestem Alamankaja i jestem przewodnikiem. Oprowadzę wasm pom planeciem.

Wyruszyliśmy więc w drogę. Było tu wszystko: kina, teatry, restauracje, banki, salony gier, salony piękności. Poznaliśmy innych mieszkańców tej planety: Betanika, Kladewiszę, Polujazkę i Narodkaja. Świetnie się z nimi bawiliśmy. Jednak w końcu przypomnieliśmy sobie o zepsutym samolocie.

-Jużm nigdy nie wrócimy nam Ziemię?- zapytała Klaudia.

-Bardzo fajnie, ale chciałobyśmy wrócić -powiedziała Beata.

-Spokojnie, pokażę wam pewne supermiejsce.

I znaleźliśmy się w FABRYCE MASZYN NOWOCZESNYCH. To był ogromny budynek z wieloma piętrami. My znajdowaliśmy się na 18 piętrze. Było tu mnóstwo machin: pojazdy, wehikuły, itp. Alamankajai wskazał na małą buteleczkę pełną zielonego proszku.

- Tom jestem PYŁEK NAPRAWIACZ. Gdy coś zepsutego nim posypiesz, natychmiast się naprawi. Tom zrobimy z waszą maszyną. Chyba...żem chęciem zostać...

-Wybacz, ale kochamy naszą planetę i chcemy nam ją wrócić -powiedzieliśmy głośno.

-Dobrze. Ale poproś innych miłych ludzi, żeby nas odwiedzili.

-Jasne, załatwione!

-Super! Idziemy!

Gdy doszliśmy do maszyny, Kosmitanka posypała ją odrobiną proszku, i czekaliśmy, co się wydarzy. Maszyna w sekundę się naprawiła. Bardzo się ucieszyliśmy.

-Im pamiętajcie, odwiedzajcie nas! - powiedziała nasza znajoma. -Miłej podróży!

-Dziękujemy, do zobaczenia! - I odlecieliśmy.

To był cudowny dzień.

LISTY NIE TYLKO POLECONE

Na kuligu



Jakub Cecuła, kl. 4c

Sanok, 3.03.2011 r.

Cześć Rafał!

Na wstępie mojego listu serdecznie Cię pozdrawiam. U mnie wszystko w porządku. Chciałbym podzielić się z Tobą wrażeniami z kuligu, na którym byłem z moją klasą.

Kulig odbył się 1 marca 2011 r. w pobliskiej wsi Srogów. Do Srogowa dojechaliśmy autobusem, a następnie udaliśmy się do gospodarstwa agroturystycznego "Folwark u Goców". Przywitani nas tam bardzo mili gospodarze. Konie z saniami czekały już na nas. Do wyboru były trzy rodzaje sań. Co jakiś czas zatrzymywaliśmy się, aby zamienić się miejscami. W czasie jazdy podziwialiśmy piękne krajobrazy, które w słońcu i w śniegu wyglądały bardzo malowniczo. Czasem konie prowadzone przez woźnicę przyopieszaly, wtedy wszyscy baliśmy się i jednocześnie śmiali. Ostatecznie kulig był bardzo udany. To nie koniec atrakcji. Następnie udaliśmy się na posiłek przygotowany przez gospodarzy. Była to pieczona kielbasa lub naleśniki z serem. Wszystkim bardzo smakowało. Zaraz po zjedzeniu urządziliśmy sobie bitwę na śnieżki, było bardzo wesoło. Spróbowaliśmy też swoich sił w tenisie stołowym. Całkiem niezłe nam szło. Wielką niespodzianką była dla nas naruka wyrobu masła. Każdy z nas mógł wcielić się w rolę dawnej gospodyni i w maśniczce własnoręcznie zrobić masło. Na koniec wszyscy mieli okazję skosztować chleba z domowym masłem i masłanką.

Wycieczka była bardzo udana i chętnie wybrałbym się na nią ponownie z Tobą. Napisz, co o tym sądzisz. Pozdrawiam Cię!

Kuba



Zuzanna Kopiec, kl. 4c

Sanok, 3.03.2011 r.

Droga Marysiu!

Na początku mojego listu chciałam Cię serdecznie pozdrowić i zapytać, co u Ciebie. Mam nadzieję, że wszystko dobrze. Przepraszam za tak długie milczenie. Mam Ci tyle do opowiedzenia. Sądzę, że najbardziej zainteresuje Cię moja opowieść o wycieczce, na której byłam przedwczoraj z całą klasą.

Była to wycieczka do Srogowa na kulig. O godzinie 8.30 wyjechaliśmy autobusem w dobrych humorach, bo była piękna pogoda, chociaż dość mroźna, ale za to słoneczna. Gdy dojechaliśmy na miejsce, zostawiliśmy plecaki w domku obok stajni. Kiedy sarnie zostały zaprzężone w konie, podjechały po nas i wraz z panem woźnicą ruszyliśmy na kulig. Na początku jechałam na małych sankach z moją koleżanką, Mileną, potem przesiadaliśmy się do dużych saní. Objechaliśmy chyba wszystkie pola, chwilami jechaliśmy tak szybko, że bałam się, aby nie opaść z saní. Zabawa była świetna. Kiedy wróciliśmy, poczęstowano nas kielbasą i gorącą herbatą. Po posiłku mieliśmy czas wolny, kto chciał, wychodził na podwórkó, aby pobawić się na śniegu, reszta grała w ping - ponga. Na początku wyszłam na zewnątrz i brzucałiśmy się śnieżkami. Z tej zabawy wróciłam strasznie przemoczona. Przebrałam się w suche ubrania i grałam razem z Kubą, Mileną i Konradem w ping - ponga. Po jakimś czasie wszystkie dzieci, które zostały na podwórkó, wróciły przemoczone do suchej nitki. Czekala nas jeszcze jedna niespodzianka. Pani gospodyni przysła do nas z maśniczką pełną gęstej śmietany. Mieliśmy ubijać ją, aż do całkowitego zgęszczenia, czyli do uzyskania masła. Każdy z nas mógł spróbować zrobionego masła z chlebem i napić się maślanki.

Na tym właśnie skończył się nasz pobyt w Srogowie, bo pani wychowawczyni kazala nam się już ubierać. Do domu wróciłam o godzinie 12,30, zmęczona, dotleniona i zadowolona.

To była udana wycieczka i cieszę się, że mogłam Ci o niej opowiedzieć.

Na tym kończę i gorąco Cię pozdrawiam.

Zuzia



Davide Dodaj, kl. 4c

Sanok, 3.03.11 r.

Drogi Kolego!

Na początku listu pozdrawiam Cię serdecznie. Co u Ciebie ciekawego słychać, jak Ci idzie nauka w szkole?

Chciałbym Ci opisać wczorajszy kulig w Srogowie, który zorganizowali tatusiowie moich szkolnych kolegów.

Tego dnia, gdy się zbudziłem, byłem bardzo podekscytowany i nie mogłem się doczekać, kiedy będę już w szkole. Gdy wreszcie dotarłem na boisko szkolne, musiałem poczekać na pozostałych moich kolegów, a potem razem czekaliśmy na godzinę odjazdu. Po zarządzanej przez panią zbiorce, wszyscy udaliśmy się do autobusu, który miał nas zawieźć na miejsce. Gdy dotarliśmy do Srogowa, chcieliśmy jak najprędzej wsiąść do saní i zacząć zabawę, jednak musieliśmy trochę poczekać, by wszystko musiało być dopięte na ostatni guzik.

Gdy wszystko było już gotowe, wsiadliśmy do saní i zaczęliśmy wycieczkę. Polna droga, którą jechaliśmy, była urocza, a widok, który nas otaczał, był cudowny: dookoła drzewa, mały zamarznęły strumyk i dużo śniegu. Po przejeździe, która trwała 45 minut, zajechaliśmy do gospodarstwa agroturystycznego, które nazywało się „Folwark u Goców”. Tam wszyscy zjedliśmy pieczoną kielbasę z chlebem i piliśmy gorącą herbatę. Gdy ogrzaliśmy się, część z nas wyszła na zewnątrz porzucić się śnieżkami, a niektórzy zostali grać w ping - ponga. Ja oczywiście wybrałem śnieżki. Po tak miło spędzonym dniu wróciliśmy do szkoły.

Będę kończył tę moją opowieść, cieszę się, że mogłem się pochwalić moim wyjazdem na kulig. Zachęcam Cię, aby i Twoja klasa spędziła tak miły dzień jak my. Jeszcze raz pozdrawiam,

Dawid

List do Pinokia



Sanok, 20.01.2011 r.

Drogi Pinokio!

Chciałbym podzielić się z Tobą moją radością spowodowaną Twoją przemianą. Sledząc Twoje losy, jeszcze jako pajaca, byłem dbruzzony Twoim postępowaniem. Nie mieściło mi się w głowie, że można być tak krnąbrnym i nieposłusznym dzieckiem. Gdy czytałem o tym, ja lekką ręką, oddałeś ciężko zdobyty przez Twojego tatę elementarz, miałem ochotę przyłożyć Ci w tę drewnianą głowę!

W swoim krótkim życiu opisanym w książce, popełniłeś wiele błędów, podlegając bardzo łatwo złym wpływom innych. Twoja samolubność i lekkomyślność była czasami niewiarygodna. Kiedy już myślałem, że nic mnie nie zaskoczy, Ty odmieniłeś się naprawdę, chociaż wcześniej wiele razy obiecywałeś poprawę. Ujęła mnie za serce i bardzo wzruszyła, choć jestem też chłopcem, Twoja praca, za którą mogłeś zapewnić swojemu ojcu chociaż skromny posiłek. Ucieszyło mnie również, że zrozumiałeś, że nauka jest bardzo ważna, ponieważ nie uczymy się dla kogoś, tylko dla siebie. Twoje samozaparcie w dążeniu do celu, było dla mnie imponujące. Bardzo szlachetnie zachowałeś się, rezygnując z nowego stroju, a pieniądze przeznaczając dla chorej Wróżki.

Wiem, że nie było Ci łatwo zmienić się, dlatego gratuluję samozaparcia i chęci dążenia do zmian. Bardzo się cieszę, że tak odmieniłeś swoje życie i dałeś wiele radości swojemu kochającemu ojcu.

Życzę powodzenia i samych szczęśliwych dni.

Matusz.

Sanok, 20.02. 2011 r.

Kochany Pinokio!

Na początku mojego listu chcę Cię serdecznie pozdrowić i się przedstawić. Nazywam się Szymon i mieszkam w bardzo ładnym miasteczku o nazwie Sanok.

Dzisiaj rano otrzymałem SMS z niezwykle radosną wiadomością, że spełniło się największe marzenie dwojga bardzo bliskich mi osób, a mianowicie Twoje i Dżepetta. Bardzo się cieszę z Twojej przemiany, z tego, że stałeś się grzecznym chłopcem, mimo że byłeś kiedyś niezbyt posłusznym i nierozsądnym pajacem. Słyszę, że pomagasz w domu, pomagasz innym ludziom. Widzisz, świat się zmienił. Teraz zapewne już wiesz, że aby osiągnąć upragniony cel trzeba naprawdę się starać i wiele pracować. Jestem dumny z Ciebie, ponieważ wytrwałeś w byciu dobrym i posłusznym dzieckiem, za co zostałeś tak fantastycznie nagrodzony. Oczywiście Twoje nowe ciało może sprawić Ci nieco problemów. Nie jest tak łatwo przyzwyczaić się do, płynnych ruchów kończyn, do odczuwania bólu, przyjemnego laskotania, czy nieprzyjemnego swędzenia. Jednak nie poddawaj się, skoro tyle już przeżyłeś, to na pewno uda Ci się opanować nowe odczucia i możliwości.

Zwróć też uwagę na to, teraz kiedy będziesz kłamał, nie będzie wydłużał się Twój nos. Teraz możesz się pocić, czerwienić, mogą trząść się Twoje ręce. Wiesz mi, znam to, sam to nieraz przeżywałem

Drugi Pinokio, piszę do Ciebie ten list również po to, by uświadomić Ci, iż Twoja przemiana w dobrego chłopca jest dla mnie motywacją, by się zmienić. Kiedy zacząłem czytać książkę, której jesteś głównym bohaterem, zobaczyłem siebie. Jestem bardzo zadowolony z Twojej metamorfozy, gdyż ukazałeś czytelnikom to, że aby się zmienić na lepsze, trzeba jedynie popracować nad sobą. Uważam, że gdyby każdy człowiek miał tyle siły co Ty, świat byłby lepszy.

Przyjacielu, doskonale poznałem Twoje przygody. Wiem, że wiele przeszedłeś. Oczywiście wszystkie złe przygody spotkały Cię tylko dlatego, że byłeś nieposłuszny swojemu kochanemu ojcu Dżepetto, który stale martwił się o Ciebie. Czas jednak zapomnieć o złych chwilach i cieszyć się tym, że dzięki dobrej Wróce zostałeś prawdziwym człowiekiem.

Na tym kończę mój list, pragnę jeszcze raz podkreślić moją radość z Twojej przemiany. Mam nadzieję, że taki pozostaniesz.

Pozdrawiam,

Szym

TO MOGŁO SIĘ WYDARZYĆ



Cezary Janowski, kl. 5b

Wieczorem Wojtek kazał wszystkim szybko iść spać.

-Nie chcemy! Protestujemy! - krzyknął Dzika Mrówka, a z nim Baleron i Szufla.

-Jest za wcześnie - narzekały Ula, Magda, Jadwiga i Halina.

-Jutro czeka nas długi marsz, więc spać, bez gadania! - powiedział opiekun.

Rano obudził ich głośny krzyk.

-Pobudka!!!!

Wstali, spakowali plecaki i wyruszyli z Rabki w kierunku Czorsztyna. Po 2 godzinach marszu zatrzymali się na śniadanie. Nad górską rzeczką rozłożyli koce i wyjęli to, co mieli do jedzenia. Dziewczyny zrobiły kanapki, ale chłopcy postanowili się wykąpać.

-No to wszyscy do wody! - krzyknął pan Wojtek i po chwili cała grupa chlapała się w strumieniu.

-Ratujmy śniadanie - wrzasnęła nagle Ulka i wybiegła na brzeg.

-Zwariowałaś? - zapytał Dzika Mrówka.

Wtedy wszyscy zobaczyli, jak stado owiec zjada ze smakiem ich kanapki.

Po chwili cała grupa znalazła się na brzegu, ale po śniadaniu nie było już śladu.

Głodni powędrowali dalej.



Miłosz Balwierczak, kl. 6 b

Pewnego dnia, gdy spokojnie leciałem samolotem, wydarzyło się coś nieoczekiwanego.

Podczas drugiej godziny lotu ja i inni pasażerowie usłyszeliśmy wiadomość od kapitana, że za chwilę znajdziemy się w rejonie turbulencji. Wszyscy zapięliśmy spokojnie pasy, ponieważ wiedzieliśmy, że turbulencje to rzecz normalna. Jednak nie było tak normalnie, jak myśleliśmy. Samolot zaczęło mocno trząść i już po chwili usłyszeliśmy, że pierwszy silnik nie działa. Po chwili przestał działać również drugi. Przy pomocy dwóch pozostałych silników piloci próbowali osadzić samolot na wodzie. Niestety, nie udało się. Samolot z łomotem uderzył w powierzchnię morza.

Przez chwilę byłem nieprzytomny. Gdy się ocknąłem, strasznie bolała mnie głowa i miałem rozciętą rękę. Z wraku samolotu wyciągnąłem tratwę ratunkową i szybko wydostałem się na powierzchnię wody. Ponton napompował się po pociągnięciu za sznurek. Wdrapałem się na niego i myślałem, co dalej robić. Znalazłem na nim skrzynkę z rzeczami potrzebnymi do przetrwania. Była tam woda pitna, krzemień, suche jedzenie, dwa noże, bandaże oraz flara. Zabandażowałem ranę, a następnie wszystko dokładnie obejrzałem i postanowiłem gdzieś wyruszyć. Na łodzi były wiosła, więc nie miałem z tym większego problemu.

W oddali zobaczyłem małą wyspę, z bardzo bujną roślinnością. Pomyślałem, że najlepiej będzie udać się tam, ponieważ mogą tam występować owoce jadalne. Po czterdziestu minutach wiosłowania dotarłem do brzegu wyspy. Chwilę odpocząłem, a następnie porozglądałem się. Moje przypuszczenia okazały się trafne, po drodze znalazłem znane mi bananowce oraz drzewka pomarańczowe. Zauważyłem też owoce podobne do mango, ale wolałem ich nie jeść. Wiedziałem, że będę musiał tu zostać, więc postanowiłem zrobić sobie postanie. W lesie znalazłem liany oraz roślinę o długich i szerokich liściach. Wziąłem je ze sobą, z lian uplotłem własnym sposobem prowizoryczny hamak, i wyłożyłem go liśćmi. Nad nim zrobiłem dach z pontonu. Cała budowa miała kształt namiotu.

Zauważyłem, że zaczyna się ściemniać, więc postanowiłem rozpalic ogień, żeby ochronić się przed dzikimi zwierzętami. Nazbierałem trochę suchej trawy, gałązek i innego drewna i za pomocą krzemienia rozpałiłem ognisko. Noc minęła całkiem dobrze, więc pomyślałem, że jeśli mam tu zostać na dłużej, to nie będę zmieniał miejsca pobytu.

Zapasy wody, jakie były na pontonie, nie wystarczyły mi na długo, suche jedzenie też szybko się skończyło. Musiałem więc znaleźć źródelko i więcej drzew owocowych lub zwierzęta, które mógłbym upolować. Niedaleko namiotu było wzgórze, postanowiłem tam poszukać wody. Dostyc szybko znalazłem źródelko pitnej wody. Zbiornik na wodę, jaki miałem, był wystarczająco duży i wody powinno mi wystarczyć na cały dzień.

Wracając ze wzgórza, zauważyłem jakieś uwięzione zwierzę. Było małe i nie wydawało się groźne. Gdy podszedłem bliżej, okazało się, że to zając. Zabiłem go i postanowiłem upiec na kolację.

Gdy obudziłem się trzeciego dnia pobytu na wyspie pomyślałem, że skoro był tam ten jeden zając, to na wyspie musi być ich więcej. Z jednego noża i solidnego kija zrobiłem dzidę. Nóż z kijem związałem cienką lianą, która idealnie zastępowała linę. Po uzupełnieniu wody wyruszyłem na kolejne poszukiwania. Po godzinnej wędrówce spostrzegłem, że rozciąga się przede mną szeroka dolina. Jednak nie jej wielkość była znacząca. Była ona bowiem

porośnięta licznymi, kolorowymi drzewami owocowymi. Oprócz wcześniej spotkanych bananów i pomarańczy, były tam ananasy, limonki, papaje, orzechy kokosowe, winogrona oraz czereśnie. W oddali zobaczyłem również grupkę zajęcy. Zakradłem się, a potem rzuciłem nożem w jednego futrzaka. Zwierzęta w popłochu uciekały, ale udało mi się upolować jeszcze jednego. Wziąłem zajęc i tyle owoców ile mogłem unieść i wróciłem do namiotu.

Czwartego dnia zauważyłem, że mam już trochę jedzenia, więc postanowiłem zająć się czymś innym. By móc nieść więcej owoców, związałem z lian siatkę, w której mogłem je nosić. Wykonanie jej zajęło mi dużo czasu, więc czwartego dnia poszedłem już tylko po wodę i położyłem się spać.

Piątego dnia wyruszyłem ponownie do „owocowej doliny”, by tym razem zabrać stamtąd więcej owoców. Wziąłem ze sobą siatkę, wodę i dzidę. Gdy dotarłem na miejsce, nzbierałem dużo owoców i upolowałem kilka zajęcy. Kiedy wróciłem, porzkladałem wszystko w namiocie i poszedłem popływać w morzu.

Szóstego dnia zrobiłem duży stos gałęzi, a na górę dałem liście, by podczas palenia było dużo dymu. Popływałem jeszcze chwilę, zjadłem kolację i poszedłem spać. Nagle obudził mnie huk helikoptera. Jak najszybciej wziąłem flarę i wystrzeliłem ją w powietrze oraz podпалиłem stos gałęzi. Helikopter mnie zauważył. Ratownicy opuścili linę i po chwili znalazłem się na pokładzie. Okazało się, że był to helikopter poszukujący rozbitków takich jak ja.

Na szczęście ta historia skończyła się pomyślnie, lecz co mogłoby się wydarzyć, gdyby na bezludnej wyspie mieszkali ludożercy lub jakieś dzikie zwierzęta?



Joanna Smarzewska, kl. 6 b

Pewnego razu spacerowałam brzegiem morza. Świeciło słońce. Po wczorajszym sztormie nie było śladu. Nagle coś zabłyszczało w piasku. Schyliłam się i ujrzałam zamkniętą korkiem butelkę. W środku znajdował się kawałek postrzępionej kartki. Podniosłam butelkę, otworzyłam ją i delikatnie wyjęłam z niej skrawek papieru, z napisem RATUNKU!.

To był list z prośbą o pomoc. Czteroosobowa grupa młodych ludzi wypłynęła dwa dni temu w morze. Gdy rozpełtała się burza, ich żaglówka wywróciła się i zaczęła tonąć. Oni cudem ocalili, lecz wzburzone morze wyrzuciło ich na brzeg małej bezludnej wysepki, oddalanej o kilkadziesiąt kilometrów od brzegu.

Nie tracąc czasu, szybko pobiegłam do najbliższego portu po pomoc. Kiedy pokazałam im list, z początku nikt nie chciał mi wierzyć, lecz po chwili jeden z ratowników postanowił zebrać ekipę i wyruszyć na poszukiwania

rozbitków. Zapytałam, czy mogę popłynąć z nimi, bardzo chciałam wziąć udział w takiej akcji ratunkowej i oczywiście poznać ludzi, którym, być może, uratuję życie. Ratownicy nie chcieli się zgodzić, ale bardzo, bardzo ich prosiłam, aż w końcu się zgodzili. Ubrana w kamizelkę ratunkową wsiadłam na mały stateczek i wyruszyliśmy w kierunku wyspy. Słońce grało coraz mocniej.

Po niecałych dwóch godzinach ktoś krzyknął: „Widzę ląd, jakieś dwie mile przed nami, na zachód! Płynmy w tym kierunku!”. Gołym okiem nie było nic widać, dopiero kiedy wzięłam lornetkę, zobaczyłam w oddali coś, co mogło przypominać wyspę. Coraz bardziej zbliżaliśmy się do wyznaczonego celu. Nagle statek zatrzymał się. Było zbyt płytko, by płynąć dalej, ale z tej odległości było widać brzeg, na którym stali ludzie i machali w naszym kierunku. To na pewno są nasi rozbitkowie – pomyślałam. Pośpiesznie przesiedliśmy się w szalupy ratunkowe, znajdujące się na statku i popłynęliśmy do brzegu. Jakże wielkie było moje zdziwienie, gdy po chwili ujrzałam Tomka, Zbyszka, Olę i Jagodę, naszych sąsiadów z ośrodka.

- Co wy tutaj robicie?! – zawołałam. Myślałam, że pojechaliście na wycieczkę po okolicy. Dlaczego nie powiedzieliście nikomu, że wypływacie w morze?.

- Przepraszamy – powiedział Zbyszek. - Chcieliśmy trochę pożeglować i sytuacja wymknęła się spod kontroli.

- Jak to? - zapytałam.

- Była świetna pogoda na żagle, wiał wiatr. Nagle pogoda zaczęła się zmieniać, wiatr był coraz mocniejszy, zaczął padać ulewny deszcz.

- Dlaczego od razu nie zawróciliście?

- Byliśmy za daleko od brzegu. Wiatr przewrócił żagłówkę i zaczęła tonąć – wtrącił Tomek.

- Na całe szczęście ujrzałam wyspę. Z trudem dotarliśmy do brzegu, zmarnięci, zmęczeni, przerażeni i głodni. - Ale jak wy nas znaleźliście? Skąd wiedzieliście, gdzie jesteście? – zapytała Jagoda.

- Dzisiaj rano spacerowałam po plaży szukając bursztynów. Zawsze po sztormie jest ich dużo, ale zamiast bursztynów znalazłam butelkę z listem i pobiegłam po pomoc – odpowiedziałam.

- To dzięki Oli. Dobrze, że miała w kieszeni kurtki kartkę i długopis, więc mogliśmy napisać list. Butelkę znaleźliśmy na brzegu. Miałem nadzieję, że ktoś ją znajdzie.

- Czas wracać! - zawołał jeden z ratowników. Robi się późno, a przed nami długa droga.

Wyruszyliśmy w drogę powrotną. Cieszyłam się, że wyprawa ratunkowa się udała Słońce zaczęło powoli zachodzić. Wreszcie dopłynęliśmy do brzegu.

Wszyscy byli bardzo zadowoleni - rozbitkowie, że szczęśliwie wracają do domu, my, że udało nam się uratować komuś życie. To była niezapomniana przygoda.



Joanna Smarzewska, kl. 6b

Bardzo lubię żeglować. W zeszłym roku podczas wakacji wybrałam się na obóz żeglarski do Chorwacji. To było moim marzeniem - żeglować po Adriatyku.

Pewnego słonecznego ranka urządziliśmy regaty. Sześć żaglówek, z dwuosobowymi załogami na pokładzie wypłynęło w morze. Ja ze Zbyszkim, który posiadał już patent żeglarza, popłynęliśmy jako pierwsi. Była piękna pogoda, wiał lekki wiatr i nawet nie zauważyliśmy, jak bardzo oddaliliśmy się od reszty. Byliśmy na środku morza, nie było widać żadnego brzegu. Nagle zmieniła się pogoda, i zaczął wiać silny wicher. Żaglówka płynęła coraz szybciej, zaczęliśmy tracić panowanie nad sterami. Rozpadał się ulewny deszcz. W ostatniej chwili zdążyliśmy założyć kurtki przeciwdeszczowe. Niebo zrobiło się ciemne, wokoło nic nie było widać. Byliśmy przerażeni. Czy uda nam się dopłynąć do brzegu? – zadawałam sobie wciąż to pytanie. Nagle żaglówka w coś uderzyła i przewróciła się, a my wpadliśmy do wody. Bałam się, ale się nie poddawałam, tylko płynęłam z nadzieją, że dotrę do jakiegoś lądu. Byłam już całkiem wyczerpana i chyba straciłam przytomność, bo ocknęłam się, leżąc na jakiejś kamienistej plaży. Gdy otworzyłam oczy, ujrzałam piękny wschód słońca. Wtedy zdałam sobie sprawę z tego, co się stało. Gdzie ja jestem?. Gdzie jest Zbyszek, czy udało mu się dopłynąć do lądu?.

Powoli wstałam i rozejrzałam się. Wyspa była rozległa. Wokoło nie było widać żadnych zabudowań, tylko szeroką plażę, pokrytą głównie kamieniami, o które uderzały lazuruwe, morskie fale. W oddali widać było ogrom zieleni, mnóstwo karłowatych drzew oliwnych i cytrusowych. Było bardzo cicho. Słychać było tylko szum morza i głosy ptaków. Byłam głodna, ruszyłam więc w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

Im bardziej oddalałam się od brzegu, tym las stawał się bardziej gęsty. Obawiałam się, że zabłądzę, więc zawróciłam w kierunku plaży. Nagle usłyszałam jakieś dziwne odgłosy, jakby łamanie gałęzi. Zamarłam ze strachu, bałam się odwrócić, ale po chwili usłyszałam za plecami znajomy głos.

- Aśka! Żyjesz, nic ci się nie stało?

- Zbyszek?! Jak się cieszę! Ty też dotarłeś do tej wyspy!- zawołałam przez łyż.

Jak myślisz, czy nas tutaj odnajdą?

-Na pewno. Sądzę, że kiedy wczoraj nie wróciliśmy do obozu, to natychmiast rozpoczęli poszukiwania – odpowiedział spokojnie Zbyszek.

-Ale tutaj jest tyle różnych wysepek, nie wiadomo, jak długo będziemy musieli czekać na pomoc – wtrąciłam.

- Nie martw się, we dwoje raźniej, jakoś damy sobie radę. W kieszeni znalazłem scyzoryk i zapalniczkę. To już coś. – powiedział. Chodź, poszukamy czegoś do jedzenia.

Na drzewach było dużo dojrzałych oliwek, kiwi, pomarańczy. Z kurtki zrobiliśmy torbę, narwaliśmy trochę owoców i wróciliśmy na plażę, by spokojnie zjeść. Soczyste owoce ugasiły nie tylko głód, ale i pragnienie.

Następnie postanowiliśmy trochę się rozejrzeć i ruszyliśmy na zwiedzanie wyspy. Wcześniej jednak ułożyliśmy z patyków duży napis S.O.S. Przeszliśmy już chyba kilka kilometrów, ale niestety niczego ciekawego nie było. Krajobraz był bardzo monotony, tylko drzewa i woda.

Byłam już zmęczona i chciałam odpocząć, gdy ujrzelśmy zrobiony przez nas napis. Wróciliśmy w to samo miejsce. Okazało się, że wyspa wcale nie była taka duża. Słońce chyliło się ku zachodowi, a pomoc wciąż nie nadchodziła.

- Chyba przyjdzie nam tu spędzić kolejną noc- powiedziałam.

- Całe szczęście, noce są takie ciepłe- zażartował Zbyszek.

Zebraliśmy więcej owoców na kolację oraz patyków, aby rozpaść ognisko.

Przy ognisku było bardzo przyjemnie, obserwowaliśmy spokojne morze i pełzające po brzegu kraby.

Wieczorem, bardzo zmęczeni, przygotowaliśmy sobie posłanie z kurtek, oczywiście pod gołym niebem i szybko zasnęliśmy.

Obudziły mnie jakieś głosy. Gdy otworzyłam oczy, ujrzałam nad głową postać. To był jeden z ratowników.

- Wreszcie was odnaleźliśmy. Koniec zabawy w Robinsonów. Zbierajcie się, wracamy do domu – powiedział.

Po chwili byliśmy już na pokładzie ratowniczego statku. Całą drogę myślałam o tym, co się wydarzyło. Co by było, gdyby pomoc nie nadeszła, gdybyśmy musieli zostać na wyspie dłużej? Czy potrafilibyśmy poradzić sobie tak dobrze jak Robinson? Dobrze, że nie musieliśmy się o tym przekonywać.

Te dwa dni na wyspie, to były najdłuższe dni w moim życiu.

W ŚWIECIE BOHATERÓW LEKTUR



Tomek Sawyer

Bogdan Marczak, kl. 4b

Od dziś zaczynam wierzyć w przesady, piątek trzynastego to najgorszy dzień w roku. Ciotka Polcia dała mi karę. Nienawidzę jej!!! Kazała mi malować płot. Mnie! Panu podwórka zrobić coś takiego, to jak cios w plecy. Ale niestety, muszę wykonać tę pracę, bo jak nie, to dostanę w skórę.

Ależ ciężkie to wapno! Gdzie jest ten głupi płot!? O, tam jest, rozpoczynamy pracę. Ojej! Dzim biegnie, może on za mnie pomaluje? Postaram się go przechytrzyć. Nie, to chyba będzie niewypał, bo maszeruje tu ciotunia. Chyba się poddam. Ja, Tomek Sawyer, oświadczam, że...

Nie... to jeszcze nie koniec! Idzie Ben. Jest! Złapała się ryba na haczyk. No, tak powinno być, on haruje, a ja odpoczywam. O, Ben już padł, ale to nie szkodzi, inni chłopcy są do dyspozycji. Przy okazji każdy z nich daje mi coś w zamian za malowanie. O! Chyba wapno się już skończyło. Ale to nic, płot i tak jest już pomalowany (trzema warstwami) Teraz jestem najbogatszym chłopcem na świecie. Dobra, idę się bawić, koniec pisania.



Elza Jeziarska

Monika Buczek, kl. 4d

Podróż pociągiem do Torunia minęła wszystkim bardzo szybko. Przez całą drogę dziewczynki wesoło rozmawiały, wspominając wspólne zabawy nad morzem. Mama Danki zadzwoniła do domu, aby powiedzieć, że przyjedzie z jeszcze jedną dziewczynką. Telefon odebrała Bunia.

- Dzień dobry Buniu.

- O, dzień dobry Ireneo. Czy coś się stało?

- Nie, nic się nie stało, tylko chciałam ci powiedzieć, że przyjadę z jeszcze jedną dziewczynką, która ma na imię Elza i proszę, abyś się nie dziwiła. Ta

dziewczynka jest niewidoma , poznała się z Danką nad morzem, a do Torunia jedzie na operację. Tylko proszę, nie wspominaj o tym przy Elzie.

- Dobrze Ireno. Muszę już kończyć, bo przypała mi się ciasteczka. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia mamó.

Gdy pociąg zatrzymał się na dworcu kolejowym, podróżniczki wysiadły z wagonu i udały się prosto do domu. Tam czekał na nie pyszny obiad. Bunia serdecznie powitała Elzę i Dankę i poprosiła je , aby przed obiadem poszły umyć ręce. Gdy wszyscy zjedli, mama Danki postanowiła zabrać dziewczynki na spacer do parku. Elza szła blisko Danki, ponieważ się trochę bała.

Nagle Danusia zapytała:

- Mamó?

- Tak, Danusiu?

- Możesz mi powiedzieć, gdzie idziemy?

- Tak. Idziemy do parku.

- Do tego, gdzie jest ta duża fontanna?

- Tak .

Nagle wtrąciła się Elza.

- Danusiu, a co to jest fontanna?

- Fontanna Elzo, to takie bardzo, bardzo małe morze, z którego wytryska do góry woda, tak jak z wieloryba – wesoło odpowiedziała Danką.

- Acha, pewnie musi być piękna, tak bardzo chciałabym ją zobaczyć...

- Na pewno kiedyś ją zobaczysz – powiedziała mama Danki.

- Jak to? Przecież jestem niewidoma.

- Teraz to nieważne, w domu ci wszystko wytłumaczę.

- Dobrze.

Gdy doszły już do parku, mama Danuty usiadła na ławce i podziwiała drzewa i kwiaty, rosnące niedaleko fontanny. Danusia chodziła z Elzą alejkami, opowiadała jej, jak wygląda park. Powoli podeszła z nią do wodotrysku. Nagle Elza krzyknęła:

- Co to Danusiu!?

- To fontanna tak tryska! Nie bój się.

- Dobrze , ale chodź tam, gdzie są kwiatki, dobrze ?

- Dobrze, chodź.

Minęły dwie godziny i trzeba było wracać do domu. Przyjaciółki po powrocie zjadły ciasteczka przygotowane przez Bunię. Potem bawiły się w swoją ulubioną zabawę „ Okręt tonie”. Dziewczynkom szybko zleciał dzień i musiały iść spać.

Nazajutrz, gdy Elza i Danką zjadły śniadanie, Danusia opowiadała niewidomej, jak wygląda Toruń.

- Bardzo pięknie opowiadasz Danusiu, a może teraz pobawimy się lalkami?

Dziewczynki bawiły się w najlepsze, gdy do pokoju weszła mama i powiedziała do Elzy:

- Kochana Elzo, za dwa dni będziesz miała operację ...

- Operację ? – zdziwiła się Elza – Ale przecież ja nie jestem chora !

- Nie, nie jesteś chora – wytłumaczyła mama Danki - Ale nie widzisz, a my bardzo chcielibyśmy, abyś mogła zobaczyć ten piękny świat, dlatego pójdziesz do szpitala, gdzie słynny profesor zrobi wszystko, abyś widziała.

- A uda się ta operacja?- z trwogą w głosie zapytała Elza.

- Tak, na pewno się uda. A tu Elzo mam dla ciebie list od Budziszów.

- Dziękuję, ale czemu pani powiedziała „Budziszów”, a nie moich dziadków?

- Elzo, posłuchaj, tak naprawdę Budziszowie nie są twoimi dziadkami, oni cię tylko przygarnęli po śmierci twojej mamy, bo nikt nie chciał się tobą zaopiekować. A ty naprawdę nazywasz się Elżbieta Maria Jeziorska.

- Tak ? Ale czemu nikt mi o tym nie powiedział?!- zmartwiona Elza rozpląkała się.

- Elżuniu , nie martw się. Tak czasami jest.

- No właśnie. Ze mną też tak było, bo nikt mi nie powiedział, że pani Ada miała córkę i syna – wtrąciła Danki.

- Nie martw się, mam coś jeszcze dla ciebie od Budziszów – powiedziała pani Irena.

- A co?

- Proszę – powiedziała mama Danki, podając jej prezent.

Elza dokładnie go dotykała i obracała. Nagle wykrzyknęła:

- To miś! Bardzo chciałabym im podziękować.

Potem poprosiła Dankę , aby przeczytała jej list.

Nagle Bunia zawołała na obiad. Po obiedzie dziewczynki wraz z panią Ireną poszły na spacer nad rzekę. Chciały koniecznie, aby babcia z nimi poszła, ale ona uparła się, że będzie padał deszcz i woli zostać w domu. Miło upłynął im dzień nad brzegiem rzeki. Zbliżał się wieczór i okazało się, że Bunia miała rację, zaczął padać deszcz. Szybko wróciły do domu, gdzie czekała na nie gorąca herbata i pyszny placek przez nią upieczony.

Nadszedł dzień operacji Elzy. Dziewczynka nie bała się, bo wiedziała, że to jej nadzieja na odzyskanie wzroku.

Operacja trwała trzy godziny, a po jej zakończeniu lekarz powiedział, że wszystko jest na dobrej drodze.

- Jeszcze tylko trzy dni w szpitalu i wyjdiesz do domu – oznajmiła Elzie Danusia

-

Lekarz powiedział , że jutro zdejmą ci opatrunek, na pewno będziesz już mogła widzieć.

- Bardzo się cieszę Danusiu. Nigdy nie sądziłam, że będę mogła zobaczyć ciebie, twoją mamę i siebie w lusterku.

Mama Danki wysłała telegram z dobrą wiadomością do Budziszów . Elza, po wyjściu ze szpitala, przez pewien czas mieszkała u Danki w Toruniu, a potem wróciła nad morze do dziadków Budziszów. Danusia każde wakacje spędzała u Elzy.

Od tej pory dziewczynki mogły razem spoglądać na otaczający je świat. Danusia już nie musiała opowiadać Elzie, jak wszystko wygląda, sama patrzyła swoimi dużymi oczami.



Ania Shirley

Aleksandra Łyko, kl. 5a

Ania Shirley, to tytułowa bohaterka poczytnej powieści Lucy Montgomery. Dziewczynka urodziła się w Bolingbrooke. Bardzo wczesnie utraciła rodziców. Po ich śmierci przygarnęła ją pani Thomas, a później pani Hammond. W zamian za utrzymanie, Ania musiała pomagać i opiekować się młodszymi od siebie dziećmi. Następnie trafiła do domu sierot, a wreszcie do Maryli i Mateusza w Avonlea.

Bohaterkę poznajemy jako jedenastolatkę. Była drobną dziewczynką, o bladej i piegowej twarzyczce. Miała wielkie, szarozielone oczy, zgrabny nos i szerokie usta. Ubrana była skromnie i nieciekawie. Jako szesnastolatka, Ania zmieniła się. Miała smukłą sylwetkę i delikatne rysy twarzy. Ubierała się skromnie, ale gustownie.

Dziewczynka była pojętym, mądrym, zdolnym i inteligentnym dzieckiem. Świadczy o tym choćby to, że Ania zdobyła stypendium za najlepszą pracę z j. angielskiego. Wyróżniała ją bujna wyobraźnia. Podopieczna Maryli i Mateusza, często lubiła wymyślać historie, które nigdy się w jej życiu nie wydarzyły. Była bardzo uzdolniona literacko. Ania założyła nawet swój własny klub literacki.

Bohaterka książki była wybuchowa i impulsywna, np. podczas kłótni z Gilbertem rozbiła mu tabliczkę na głowie. Była jednocześnie szczerą i bezpośrednią. Cechy te sprawiały, że z łatwością pozyskiwała sympatię kolegów i koleżanek. Czasem jednak przeszkadzało jej to w życiu.

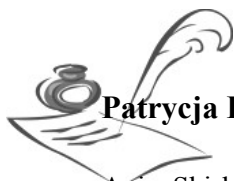
Dziewczynka była bardzo wrażliwa. Często się załamywała, np. kiedy upiła Dianę, płakała i wpadała w „otchłań rozpaczy”. Często wpadała

w egzaltację, nadużywała efektownych wyrażań. Dowodem na to jest sytuacja, kiedy poszła z przeprosinami do pani Linde i zaczęła mówić tak „wielkimi” słowami, że pani Małgorzata myślała, że Ania odgrywa rolę teatralną, a nie ją przeprasza.

Wyróżniało ją posłuszeństwo, pracowitość, była pomocna i opiekuńcza. Świadczy o tym moment, gdy Ania zdecydowała się zostać na Zielonym Wzgórzu, aby zająć się chorą Marylą. Czasami jednak bywała nieuważna i roztrzepana. Dowodem na to jest sytuacja, kiedy dziewczynka weszła na dach pod namową koleżanek. Anię wyróżniało to, że była wyrozumiała dla innych, a jednocześnie odporna na trudy życia.

Pomimo śmierci rodziców i tułaczki od sierocińca do różnych zastępczych rodzin, nie traciła radości i chęci do życia. Była pełna wiary i optymizmu. Dziewczynka była dumna z siebie. Najbardziej wtedy, gdy zdobyła stypendium. Cechowała ją odwaga, którą wykazała się choćby wtedy, gdy grała Elaine i odważyła się wypłynąć na jezioro. Ania była wrażliwa na piękno przyrody. Kochała zwierzęta, lubiła chodzić na spacer, wymyślać miejscom nowe nazwy. Dziewczynka była przyjazna i łatwo nawiązywała kontakty z innymi.

Według mnie Ania, to zabawna, a zarazem mądra dziewczynka. Chciałabym mieć taką siostrę, z którą mogłabym pogadać tak jak z nią.



Patrycja Bednarz, kl. 5d

Ania Shirley urodziła się w Bolingbroke. Jej rodzice byli z zawodu nauczycielami. Dzieciństwo Ani było dosyć smutne, gdyż jej matka zmarła, kiedy dziewczynka miała trzy miesiące, a ojciec niedługo po niej. Po śmierci rodziców tułała się wśród obcych ludzi: u państwa Thomas i Hammond pomagała w pielęgowaniu dzieci i w prowadzeniu gospodarstwa. Cztery miesiące spędziła w domu sierot. Gdy trafiła do Maryli i Mateusza miała 11 lat.

Dziewczynka była brzydka i piegowata. Chodziła skromnie ubrana. Jej dwa rude warkoczki opadały wzdłuż bladej twarzyczki. Miała szpiczasty podbródek i chudą sylwetkę. Piękne oczy Ani zmieniały barwę, a jej zgrabny nos i szerokie usta dodawały dziewczynce wdzięku.

Jako panienka zmieniała się na korzyść - miała smukłą sylwetkę, błyszczące, wielkie oczy, twarz o jasnej karnacji. Jej rude włosy zmieniły barwę na piękną kasztanową. Ubierała się skromnie, ale gustownie.

Ania była bardzo inteligentna, bystra, uzdolniona i dlatego uchodziła za świetną uczennicę. Świadczyły o tym nie tylko sukcesy z dzieciństwa, np.

wysokie wyniki w nauce, ale też to, że jako panienka dostała stypendium Academy Queen s i pomyślnie zdała egzaminy do seminarium

Wielka marzycielka, ciągle ciekawa świata oraz uzdolniona literacko, wiele czytała i podejmowała próby pisarskie w klubie literackim. Była wesoła i pogodna. Opowiedziała Mateuszowi o swoim życiu w drodze na Zielone Wzgórze. Optymistycznie patrzyła na świat, szukając jego dobrych stron. Jednak równocześnie bywała uparta, gadatliwa i wybuchowa. Nie chciała pogodzić się z Gillbertem. Była dziewczyną o bujnej wyobraźni, zawsze wzruszała się, widząc piękno przyrody. Nadawała zakątkom przeróżne nazwy. Podczas pobytu w sierocińcu wymyśliła sobie dwie przyjaciółki i idealną siebie.

Ania była dziewczynką pracowitą, wytrwałą, cierpliwą, odporną na trudy życiowe, zawsze optymistycznie patrzyła na świat. Chętnie wykonywała prace domowe, chcąc odciążyć od nich Marylę.

Wykazując się odwagą, uratowała młodszą siostrę Dianę. Ciężką pracą dążyła do celu, np. wtedy, gdy postanowiła nauczyć się geometrii. Nie załamała się, pomimo nieszczęść pojawiających się jej na drodze, np. śmierci rodziców. Ania była osobą łatwo nawiązującą przyjaźnie, świadczy o tym jej przyjaźń z Dianą. Była bardzo wyrozumiała, starała się tłumaczyć przykre dla niej decyzje pani Hammond, Maryli. Na ogół była osobą bardzo lubianą.

Uważam, że bohaterka lektury była osobą godną podziwu i naśladowania. Nauczyła mnie, by z odwagą dążyć do celu, pomimo trudności stojących nam na drodze.

Harry Potter



Bartłomiej Czerwiński, kl. 5b

Harry Potter pochodził z rodziny czarodziejów. Był sierotą, jego rodzice zginęli w pojedynku z Voldemortem. Jego jedynymi żyjącymi krewnymi byli okropni Dursleyowie: ciotka Petunia, wuj Vernon i ich syn Dudley.

Chłopiec wyglądał mizernie. Przez wieczne niedojadanie u Dursleyów był niski i chudy. Czarne, wiecznie rozczochrane włosy otaczały okrągłą twarz i opadały na błyszczące, zielone oczy. Uwagę zwracała blizna na czole w kształcie błyskawicy. Ubrania nosił stare, używane wcześniej przez kuzyna Dudleya. W Hogwarcie zakładał czarne szaty.

Harry posiadał niezwykle umiejętności przydatne w magicznym świecie. Znał mowę węży, potrafił dobrze czarować, pływać. Dzięki zwinności i szybkości doskonale latał na miotle, dlatego został wybrany do drużyny Gryffindoru jako

szukający w quidditcha. Szybko nauczył się zakłęb chroniących przed czarną magią.

Dorastającego czarodzieja wyróżniała waleczność i odwaga. Stanął do walki z okrutnym Voldemortem. Nie wahał się też stanąć obronie przyjaciół: Rona i Hermiony. Był bystry i inteligentny, rozwiązywał trudne zagadki. Szybko reagował na niebezpieczeństwo. Tolerancja i życzliwość zjednywały mu wielu przyjaciół. Harry był dumny, honorowy. Nie prosił Voldemorta o łaskę i ocalenie. Wiedział, że może zginąć, ale nie ugiął się - honor był dla niego ważniejszy. Uparcie i wytrwale dążył do wyznaczonego sobie celu.

Według mnie Harry Potter to miły i sympatyczny chłopiec, który mógłby być moim przyjacielem. Jest osobą godną zaufania i naśladowania. Jest postacią o ciekawej osobowości.

TO I OWO



Kuchnia pana Kleksa

Karolina Wiśniowska, kl. 4c

Tort przyjaźni

Składniki:

- 20 dag białego proszku z kwiatów lili,
- 5 kg kolorów z tęczy,
- 5 sztuk szkiełek pomarańczowych,
- 5 sztuk szkieł zielonych,
- 5 sztuk szkieł żółtych,
- 3 łyżki cukru szczerości,
- 1 pudełko ciastek prawdziwej przyjaźni,
- kilka małych listków lipy (najlepiej, kiedy są świeże),
- garść pyłku z motyli,
- 10 płatków stokrotki,
- 1 szklanka mleka,
- 1 szklanka złocistego miodu,
- szczyptę wyrozumiałości.

Wykonanie:

Bierzemy bardzo dużą misę, do której delikatnie wsypujemy biały proszek z kwiatów lili, tak, aby się nie ulotnił. Następnie do misy wlewamy bardzo powoli szklankę mleka i razem ucieramy przez jedną godzinę drewnianą pałeczką tak, aby powstała puszysta masa. Przy ucieraniu ciasta nasze myśli muszą krążyć wokół wspaniałych wspomnień. Tak ubite ciasto przekładamy do szklanego naczynia i dodajemy - bardzo powoli, z uśmiechem na twarzy - kolory z tęczy, szkiełka pomarańczowe, zielone i żółte. Delikatnie mieszamy pałeczką z drzewa bambusowego, aż do uzyskania soczystych kolorów. Następnie dodajemy 3 łyżki cukru szczerości, garść pyłku z motyli, szczyptę wyrozumiałości i wszystko mieszamy. Po wymieszaniu ciasto odstawiamy na 10 minut, następnie całość wlewamy do tortownicy, którą wcześniej należy przygotować. Spód tortownicy wykładamy ciastkami prawdziwej przyjaźni i dekorujemy płatkami ze stokrotek.

Gdy ciasto zostanie już umieszczone w tortownicy, musimy delikatnie nim potrząsnąć, tak aby się zakołysało. Górę tortu dekorujemy listkami lipy, ale tylko wówczas, gdy będziemy czuć powiew wiatru. Pieczemy przez jedną godzinę na słońcu, polewając co kwadrans złocistym miodem. Ciasto spożywamy tylko wtedy, kiedy czujemy radość w sercu i jesteśmy życzliwi dla swoich koleżanek i kolegów.

UWAGA !!!

Jeśli to ciasto będzie spożywać osoba, która nie jest życzliwa dla swoich kolegów i koleżanek, mogą występować skutki uboczne takie jak: nieustanna czkawka i wysypka w postaci piegów.

Jestem podobny do...



Przemysław Śnieżek, kl. 4c

Gdybym miał porównać się do jakiegoś materiału, byłaby to guma. Systematycznie zajmuję się sportem, więc moje ciało jest jak guma - sprężyste i giętkie. Jestem też mocny i wytrzymały – mogę dużo ćwiczyć i mam dobrą kondycję. Bywam jak guma elastyczny – potrafię szybko dostosować się do istniejących warunków otoczenia. Niestety, czasem może być to wadą, gdyż chwilami bywam podatny na wpływy kolegów. Mama mówi, że jestem łatwopalny, gdyż łatwo zapalam się do nowych pomysłów. Nie jestem pamiętliwy i jak gumka potrafię wymazać z pamięci krzywdy, które mi ktoś wyrządził. Cechuje mnie również odwaga i nie „pękam” w sytuacjach, które mogą innym napędzić strachu.



Karolina Wiśniowska, kl. 4c

Moją osobę porównałabym do kawałka jedwabiu. Jestem delikatną, ciepłą dziewczynką o wrażliwym sercu. Lubię zawsze błyszczeć i być podziwiana. Doceniam wszystkich tych, którzy mnie szanują i są dla mnie mili. Z jedwabiu

można uszyć piękne rzeczy, które długo posłużą ludziom i ja mam nadzieję, że wyrosnę na mądrego człowieka, który kiedyś będzie służyć innym swoją pomocą.



Zuzanna Kopiec, kl. 4c

Myszę, że mogłabym porównać się z aksamitem.

Materiał ten jest delikatny, a zarazem mocny. Ja jestem wrażliwa, a jednocześnie silna.

Aksamit jest miękki i ciepły. Potrafię się rozczulać i być miła dla innych. Jestem uparta jak aksamit podczas szycia.

Sądzę, że aksamit do mnie pasuje.

Powiedzieć to inaczej...



Aleksandra Prodziewicz, kl. 4c

Pewnego dnia Karolina przekazała mi swój sekret. Bardzo mnie to zdziwiło, gdyż podobno mam długi język. Powiedziała, że zdradza mi tajemnicę jej przyjaciółki Ani, która ją bardzo zdenerwowała. To mnie zaskoczyło, gdyż ten sekret jest jak zakazany owoc. Powiedziała, że Ania ma długie ręce i była rok temu w poprzedniej szkole czarną owcą. Obiecałam, że nie puszcę pary z ust, lecz bardzo mnie korciło - mój niewyparzony język nie mógł wytrzymać. Chciałam puścić parę z ust. Dla Ani byłaby to chyba czarna godzina, gdyby się dowiedziała, że ja o tym wiem. Szczerze mówiąc mam ją w nosie, bo gołębiego serca nigdy nie miała. Raz powiedziała, że mój śpiew to kocia muzyka.



Jakub Ćwiąkała, kl. 4a

Pewnego zimowego dnia od rana malował mi się uśmiech na twarzy. Po śniadaniu mieliśmy z całą rodziną jechać na narty.

Gdy popatrzyłem przez okno, ujrzałem morze białych baranów, tyle napadało śniegu. Teraz już wiedziałem, że ten dzień będzie udany. Jak zwykle z moim wilczym apetytem zjadłem osiem kanapek na śniadanie. Moja siostra

Klaudia od samego rana miała muchy w nosie, bo nie lubi jeździć na nartach, a tata trzaskał piorunami, bo nie mógł znaleźć swojej ulubionej czapki. W końcu o dziesiątej pojechaliśmy.

Gdy ujrzałem tabliczkę z napisem „Wyciąg narciarski”, serce zaczęło mi bić jak dzwon na wieży, ponieważ pierwszy raz miałem jeździć na snowboardzie. Gdy stanęliśmy pod wyciągiem, zobaczyliśmy las ludzi zjeżdżających na nartach. Teraz dopiero zaczęły mi chodzić myśli po głowie. Byłem pewien, że sobie nie poradzę, deska to nie narty. Pogoda była ładna, a brzoskwiniowe słońce patrzyło na nas z góry. Pierwszy zjazd był ciężki, ale później szło mi jak po maśle. Jeździliśmy aż do wieczora, tylko moja siostra cały czas kręciła nosem i nie można się z nią było dogadać, bo bujała w obłokach. Niebo zakwitło gwiazdami i trzeba było wracać do domu. Byłem taki głodny, że mógłbym zjeść konia z kopytami, więc po drodze wstąpiliśmy na pizzę.

To był naprawdę świetny dzień, a moją głowę zalała powódź planów na następne dni. Jazda na snowboardzie stała się moją pasją.

Jak to dawniej w szkole bywało -

wywiad z mamą



Hubert Brojek, kl. 5a

Moja Mama chodziła do piątej klasy w latach szkolnych 1984/85. Jak mówi, była to zupełnie inna szkoła. Po pierwsze, wszystkie dzieci nosiły obowiązkowo mundurki, nauczyciel miał większy autorytet wśród uczniów i nikt nie mówił o bezstresowym wychowaniu.

Do jakiej szkoły uczęszczałaś w klasie piątej?

- Moją szkołą była S.P. nr 4 w Sanoku im. Gen. Świerczewskiego- obecnie Gim. nr 2.

Ile w szkole było klas?

- W szkole podstawowej było 8 klas. Było również bardzo dużo dzieci i stąd dużo oddziałów, od „a” aż do „g”.

Czy miałaś takie same przedmioty jak ja?

- Niektóre, np. j. polski, matematyka, plastyka, technika, historia. Językiem obcym był rosyjski. Mieliśmy geografię, biologię, fizykę, chemię. Nie było informatyki, ponieważ nit nie wiedział o istnieniu komputera.

Jaki był Twój ulubiony przedmiot?

- Lubiłam j. rosyjski, biologię i j. polski.

Którego przedmiotu nie lubiłaś?

- Matematyki - nikt jej nie lubił. Naszym nauczycielem był starszy pan, który uczył jeszcze twoją babcię. Zawsze mówił do nas: „Wy matyły! Ja was za gęstą mgłą nie widzę w szkole średniej!”. Ale było bardzo wesoło.

W co bawiliście się na przerwach?

- Bardzo modna była gra w kapsle po mleku butelkowym. Piliśmy mleko w butelkach, które zatykane było kapslami ze złotka. Gra polegała na zdmuchnięciu kapsla na stronę przeciwnika. Dziewczyny grały w klasy i gumę do skakania, chłopcy w „zośkę”.

Kto był Twoim ulubionym kolegą?

- Cała nasza klasa stanowiła paczkę dobrych znajomych. Wszyscy trzymali się razem i jeden obstawał za drugim. Bardzo trudno było nam się rozstać w 8 klasie. Do tej pory jesteśmy w kontakcie na portalu „Nasza Klasa”, a minęło już 25 lat!



Robert Pilecki, kl. 5a

Czy dobrze wspominasz dni spędzone w szkole?

-Tak, bardzo dobrze, moja klasa była zgrana. W myśl przysłowia „Jeden za wszystkich wszyscy za jednego”. Z wieloma osobami ze szkoły podstawowej mam kontakt do dziś.

Czy miałaś dobre oceny?

-Tak, oceny miałam bardzo dobre. Zaslugę mogę przypisać nie tylko sobie, ale całemu gronu nauczycielskiemu, które systematycznie „uprzejmie donosiło” mojej mamie o każdym złym stopniu. Moja mama była bowiem w tej szkole nauczycielką, co nie zawsze mi odpowiadało.

Jaki przedmiot najbardziej lubiłaś, a którego nie lubiłaś?

-Bardzo lubiłam chemię, bo na lekcji często robiliśmy różne ciekawe doświadczenia. Wtłaczanie do głowy różnych wzorów chemicznych nie sprawiało mi problemu. Moją zmorą była historia, którą niestety musiałam wkuwać na pamięć. Tak przyswojone wiadomości szybko ulatniały się z mojej głowy.

Czy miałaś daleko do szkoły? Jeśli tak, to czym dojeżdżałaś?

- Z uwagi na to, że moja mama była nauczycielką, mieszkaliśmy w domkach nauczycielskich na terenie szkoły. Każdy dzwonek szkolny był słyszalny w moim domu. Dojście do szkoły zajmowało mi minutę.

Czy chodziłaś na stołówkę szkolną? Jak tam było jedzenie?

- Tak, chodziłam. Jedzenie było okropne, w niczym nie przypominało normalnego jedzenia. Najgorsze było to, że nauczyciel dyżurujący kazał nam wszystko zjadać i nie można było nic wyrzucić.

Czy w twojej szkole były jakieś zajęcia pozalekcyjne, w których brałaś udział?

- Nie było ich wiele. Byłam zapisana na wszystkie: tańczyłam w Zespole Pieśni i Tańca „Trzy Pokolenia”, mimo braku talentu śpiewałam w chórze, chodziłam na kółko muzyczne, uczyłam się grać na akordeonie, należałam do harcerstwa, sprzedawałam w sklepiku, uczestniczyłam w zajęciach kółka humanistycznego.

Dziękuję ci za rozmowę, mamo. Z twoich wypowiedzi wynika, że ówczesna szkoła nie różniła się bardzo od dzisiejszej

Kartka z dziennika podróży



Julia Futyma, kl. 5a

21 lipca, sobota

Pogoda jest wspaniała, powietrze tak przejrzyste, iż bez problemu widać fantastyczne rumuńskie góry i lasy w różnych odcieniach zieleni.

Obudziłam się rano wcześniej, by zdążyć na wschód słońca. Widok jego czerwonej i ciepłej tarczy sprawił, że ocknęłam się ostatecznie. Rozmyślałyśmy, co począć dalej, gdzie wybrać się dziś i w pozostałe dni spędzane tutaj. Rodzice wciąż coś do mnie mówią o swoich planach w tej kwestii, lecz ja jestem zbyt zajęta napawaniem się cudnymi widokami. Mili ludzie, którzy wynajęli nam dom, czasem zaglądają tu, by sprawdzić jak się mamy, niekiedy przynoszą też pomidory, papryczki i winogrona z własnej uprawy. Jutro mam nadzieję pójść nad pobliską rzekę, płynącą dość hałaśliwie i niedającą mi spokoju. Na kolację znów ryba, kupiona u miejscowego wędkarza.

Komary ciągle gryzą (mam na lewej nodze z 30 bąbli), ale mimo tego i paru innych drobnych niedogodności, czuję, iż po powrocie do Polski będę bardzo wypoczęta.



Kamil Tomczewski, kl. 5d

Bardzo lubię podróżować po świecie. Uwielbiam poznawać życie innych ludzi.

28 czerwca

Jest godzina 19³⁰. Zaczyna się nasza wycieczka do Londynu. Wyruszamy autokarem z Krosna. Czeka nas długa i ciekawa droga. Po dwóch i pół godzinach jesteśmy za Wrocławiem, jedziemy w kierunku Zgorzelca. Po niespełna dwóch godzinach przekraczamy granicę polsko-niemiecką.

29 czerwca

Jest wczesny rano, około godziny 6⁰⁰. Jest już bardzo jasno, od razu widać, że krajobraz wokół nas się zmienia. Właśnie przekroczyliśmy granicę belgijską. Około godziny 8⁰⁰ była kontrola paszportowa. Przebiegła ona szybko i bezproblemowo. Kierujemy się na południowy-zachód autostradą A17 w kierunku Francji. O 14³⁰, jesteśmy na miejscu, wsiadamy i jedziemy metrem do naszego wujka.

30 czerwca

Dziś jest bardzo upalny dzień, zamierzamy jechać nad morze. Zrobiłem mnóstwo zdjęć na plaży. Woda nie jest zbyt ciepła, ale i tak musiałem do niej wskoczyć. Około godziny 12⁴⁰ wracamy do domu, i zatrzymujemy się w bardzo dużym sklepie. Potem mamy zaplanowanego grilla i skakanie na trampolinie.

1 lipca

Dziś udajemy się obejrzeć pałac Królowej Elżbiety II. Jest bardzo gorąco. Po drodze zatrzymujemy się obok fontanny, wrzucamy do niej monetę i robimy zdjęcie z Arabem. Potem idziemy do Mc' Donalda, a po posiłku zobaczyć największy na świecie diabelski młyn. Następnie wracamy do domu.

2 lipca

To już piąty dzień naszej wycieczki. Dziś jedziemy nad kanał, aby złowić trochę ryb na grilla. Mamy do dyspozycji również motorówkę, którą pływamy nad zatoką.

3 lipca

Nasz pobyt w Londynie dobiega już końca. O godzinie 6⁰⁰ wsiadamy do autokaru i wracamy do Polski. Zatrzymujemy się jeszcze na basenach termalnych w Niemczech. Przed nami długa droga. Za 15 godzin będziemy w Krośnie.

Przejawy tolerancji i nietolerancji wokół nas



Aleksandra Marczak, kl. 6c

Tolerancja to bardzo ważna cecha, lecz niestety, nie każdy człowiek ją posiada. Dlaczego jest taka ważna? Odpowiedź jest prosta: bez tolerancji nie byłoby miłości, przyjaźni i zrozumienia.

W historii świata można zauważyć wiele przejawów nietolerancji oraz tolerancji. W czasie II wojny światowej szerzyło się uprzedzenie do Żydów i Romów. W Polsce w czasach komunizmu zakazano tolerancji wobec mniejszości narodowych, np.: Litwinów, Ukraińców, czy Białorusinów. Wiele osób uwierzyło, że właśnie takie postępowanie wobec tych narodowości jest prawidłowe, dlatego zaczęto wobec tych społeczności używać przemocy fizycznej oraz psychicznej. Najgorsze jest to, iż niektórzy ludzie, choć czasy komunizmu się skończyły, do dziś odczuwają wrogość do tych narodów.

Jednak nie tylko w przeszłości szerzyła się nietolerancja. Dziś również można spotkać jej przykłady. Wszystkie domy starców są przepełnione. Dlaczego? Brak tolerancji. Ludzie, oddając swoich bliskich do takich ośrodków, uważają, iż zajmowanie się starszymi osobami nie jest ich obowiązkiem. Do Polski na studia przyjeżdża wielu obcokrajowców o czarnej skórze. Myślę, że polska młodzież nie traktuje ich jakoś inaczej, zresztą mam taką nadzieję... Często moja babcia uważa, że ubieram się bardzo niestosownie. A to spodnie są zbyt obcisłe, a to spódnica za krótka, i tak dalej... Wtedy ja śmieję się i mówię, iż babcia jest bardzo staroświecka. Jak się nazywa to zachowanie? Brak tolerancji.

Ale na świecie można wskazać też wiele przejawów tolerancji. Do mojej ukraińskiej szkoły chodzi chłopak, który jest buddystą, dziewczyna – punk, oraz hippis. Mimo tego, że wszyscy oni znacznie różnią się od siebie, to bardzo ich lubię. W mojej klasie jako jedyna jestem innego wyznania oraz narodowości, lecz nigdy nie spotkałam się z nietolerancją wobec mnie. Wszyscy odnoszą się do mnie normalnie, bez wyzwisk. Nie tak, jak w czasach moich rodziców...

No cóż, czasy i poglądy się zmieniają. Na zakończenie chciałam powiedzieć, że jestem bardzo wdzięczna wszystkim nauczycielom, a przede wszystkim mojej klasie 6 „c” za to, że nikt nie traktuje mnie inaczej!

Szkoła Podstawowa nr 2 im. Św. Kingi
ul. Rymanowska 17, 38-500 Sanok
www.sp2.sanok.pl; e-mail: sp2.sanok@interia.pl